6 STRON | W numerze: „Nie święci garnki lepią...“ | CENA: 6 PENSÓW

POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE SIXPENCE (IN USA AND CANADA 5c)

Wychodzi co tydzień | Dnia 4 października 1947 r | Rok IX. Nr. 39

BILANS EMIGRACJI WOJENNEJ *)

Każde przedsiębiorstwo robi bilans raz w roku. Człowiek, który zakłada przedsiębiorstwo, opiera się w swojej działalności na jakiejś ocenie rzeczywistości, robi jakieś przewidywania i zgodnie z nimi pobiera decyzje. Robiąc doroczny bilans człowiek sprawdza wyniki swojej działalności. Wyniki te, w postaci zysku lub straty, są sprawdzianem słuszności lub niesłuszności jego ocen rzeczywistości, ścisłości jego przewidywań i energii oraz właściwego doboru środków w wykonywaniu swej decyzji.

Dla oceny działalności społecznej i politycznej nie ma tak ścisłych sprawdzianów, jak zysk lub strata pieniężna. Ponadto człowiek ma naturalną skłonność sądzić o sytuacjach ogólnych na podstawie szczególnej sytuacji osobistej: np. człowiek, któremu się dobrze powodzi, może nie dostrzec ogólnej biedy i twierdzić, że jest „byczo”; z drugiej strony, człowiek znajdujący się w osobistych kłopotach może mieć skłonność myśleć, że ogólna sytuacja gospodarcza i polityczna jest „pod psem” i że cały świat zmierza do katastrofy. Z powyższych względów niemożliwe jest dać taką ocenę sytuacji ogólnej, na którą by się wszyscy zgodzili.

Myśl o potrzebie zrobienia bilansu polskiej emigracji wojennej zrodziła się w głowie piszącego te słowa z następujących powodów.

Śmierć Prezydenta Raczkiewicza zamknęła pewien etap w życiu naszej emigracji. Prezydent Raczkiewicz był w czasie wojny głową Państwa Polskiego i w tym charakterze był uznawany przez sprzymierzone rządy.

Ponadto śmierć Prezydenta wystawiła na próbę nasz legalizm i nasze dążenia do zachowania prawnej ciągłości władz Rzeczypospolitej. Kryzys rządowy, jaki powstał po śmierci Prezydenta Raczkiewicza i wyznaczeniu jego następcy, jest wymownym dowodem tego zakończenia pewnego etapu w naszym życiu na wygnaniu, o którym pisałem. Koalicja stronnictw politycznych, odzwierciadlających przedwojenny układ sił politycznych w Polsce, uległa załamaniu.

Nie ma czego żałować. Sytuacja w 1947 roku jest mocno inna, niż była w 1939. Zachowywanie wyblakłej fotograficznej odbitki przedwojennego układu sił społeczno-politycznych w Kraju niczemu nie służy. Zadania obecnego Rządu Polskiego na wychodźstwie są wybitnie odmienne niż w czasie wojny, w oparciu o Polskie Siły Zbrojne i w warunkach formalnego uznawania przez decydujące potęgi świata.

Zakończenie etapu stwarza potrzebę zrobienia bilansu zamknięcia i bilansu otwarcia nowego etapu.

Polska decyzja polityczna pozostania na emigracji opierała się na założeniu, że zgodna pokojowa współpraca Zachodu z Rosją Sowiecką nie da się wykonać. Formułujemy to założenie tutaj bardzo ogólnie i, że tak powiem, kompromisowo. Rozpiętość poglądów polskich w tej sprawie była bardzo duża.

Jedni mówili, że nowy konflikt zbrojny nigdy nie nastąpi i ci przeważnie wyjechali do Kraju. Drudzy sądzili, że kwestia konfliktu odwlecze się na lat dwadzieścia, aż do wychowania nowego pokolenia młodzieży. Trzeci rozumowali, że nowa wojna może być prowadzona tylko nowymi środkami technicznymi, na których wyprodukowanie i nagromadzenie potrzeba 3 do 5 lat. Była wreszcie i jest spora grupa osób, która każdego dnia w ciągu dwu i pół lat zawsze zapowiada wybuch wojny za trzy miesiące.

Tak czy inaczej, polska niewiara w możliwość realizacji anglosaskich marzeń o dobrym i zgodnym pożyciu z Rosją Sowiecką okazała się słuszna. Mikołajczykowską koncepcję współpracy polsko-sowieckiej, na której tle dokonał się ongiś rozłam w łonie polskiego wychodźstwa wojennego, można już dziś uważać za ostatecznie przegraną.

Chociaż nasza ogólna teza sprzed dwu i pół lat, dotycząca układu międzynarodowych stosunków okazała się słuszna, to rachuby na to, że psujące się stosunki między Rosją a Zachodem wpłyną korzystnie na stosunek Zachodu do polskiego wychodźstwa, okazały się zawodne. W postawie „Zachodu” przeważyły w danym wypadku taktyczne i doraźne korzyści ze zlikwidowania, względnie daleko idącego zmniejszenia liczby wychodźców na terenie Niemiec.

Ponadto rujnujące gospodarczo skutki wojny okazały się znacznie większe i trudniejsze do przezwyciężenia, niż optymistycznie sądzono w pierwszych dniach upojenia zwycięstwem. Okoliczność ta zwiększyła dokuczliwość kwestii wychodźczej w oczach państw zachodnich.

Nacisk wpływów sowieckich, dążący do likwidowania sprawy wychodźczej okazał się w tych warunkach skuteczny. W rezultacie pozostało nas na wychodźstwie mniej, niż przewidywaliśmy, a to zmniejszyło nasze siły i utrudniło wykonywanie zadań, jakie postawiliśmy sobie.

Jeśli chodzi o rozwój wydarzeń w Kraju, to w umysłach i wyobraźni wychodźców pamiętających sowiecką politykę w Polsce w latach 1939 - 40 panowały obawy ponownej możliwości masowych deportacji z Polski w głąb Rosji. Te czarne przewidywania, jak dotąd, na szczęście, nie sprawdziły się. Wiele się na to złożyło powodów, na których rozważanie nie ma tu miejsca. Wystarczy stwierdzić, że chwilowo powrót do Kraju na ogół nie jest bezpośrednio niebezpieczny dla jednostek. Ale trzeba pamiętać, że Polska dzisiejsza jest państwem policyjnym, w którym każdy obywatel, zwłaszcza wracający z zagranicy jest „zewidencjonowany”. Dlatego nikt nie może wziąć odpowiedzialności za zachęcanie do powrotu. Jest to zawsze tylko osobiste, ale rzeczywiste ryzyko. Jest to wydanie się w ręce „Bezpieki”.

Jeżeli myśleć o położeniu politycznym Sprawy Polskiej, to fakt zmniejszenia się liczebności polskiego wychodźstwa nie dowodzi, że koncepcja pozostania była politycznie błędna. Tak samo fakt, że wzrastające naprężenie między Zachodem a Rosją nie wpływa dodatnio na położenie polskiego wychodźstwa, nie dowodzi, że rozwój wydarzeń nie jest korzystny dla Sprawy Polskiej.

Sytuacja jest po prostu taka: pozostawanie na emigracji okazało się znacznie cięższe od przewidywań, a powrót do Kraju nie jest połączony w danej chwili z tak bezpośrednim niebezpieczeństwem osobistym, jak myśleliśmy. Ludzie, którzy z tego wyciągają wnioski osobiste i wracają do Kraju, bo ich tam wołają np. obowiązki rodzinne, myślą — z osobistego punktu widzenia — prawidłowo. Ale ludzie, którzy z tego wszystkiego wyciągaliby wnioski, że liczna i dobrze zorganizowana emigracja nie jest potrzebna dla dobra Sprawy Polskiej, myślą bardzo nieprawidłowo.

Fakt, że zadanie służenia Sprawie Polskiej na emigracji okazało się i materialnie i duchowo trudniejsze od przewidywań, fakt, że zostało nas do wykonania tego zadania mniej, uprawnia tylko do jednego wniosku: trzeba zacisnąć zęby i wzmóc wysiłki.

STANISŁAW KLINGA

*) Por. tegoż autora: „Bezprzedmiotowa rewizja” w nr. 38.

POWRÓT

Widzisz, ja już nie wrócę —
nie mam do czego . .
Oni tam w tym mieście — innym, nowym, nie mojm,
nie potrafią pewno, jak dawniej serdecznie,
chleba odkroić,
nie potrafią — ze śniegu bałwana zrobić
i z dziećmi się — śmiać.

Oni m u s z ą tam być sztywni, uroczyści,
nad-cierpliwi, —
oni — w gazecie czy liście —
są — szczęśliwi,
jakgdyby można było to szczęście
w więzieniu —
znać.

A pocichutku — płaczą.
Bo, zrozum, trzeba zgadnąć co znaczy
ich słowo,
ich, którzy tak wiele walczyli i znieśli
i którym szatan przekreślił
wszystko, — najbiedniejszych i smutnych . .
To jest refren, że mur przebić głową —
trudno.

Ale — coś ci powiem. Rozmyśliłem się.
My — wrócimy
do nich kiedyś, po długiej tułaczce w świecie,
bo choćby on wszystek ustąpił,
nie ustąpią, o, nie ustąpią —
nigdy —
żołnierze i poeci!
Nam to los przypadł walczyć do końca
za tamtych, dla tamtych —
o prawo do piosenki i słońca.

My wrócimy, wolni żołnierze,
niekoniecznie żywi, lecz radośni i nieosłabli,
MY WRÓCIMY! W — wierszu i szabli.
Wierzaj.

Tanganyika

JERZY DOŁĘGA-KOWALEWSKI

WARSZAWA I ARNHEM

Trzy lata temu w końcu września 1944 r. gdy Warszawa krwawiła się w nierównym boju, 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa wystartowała z łotnisk angielskich do akcji bojowej alianckich wojsk powietrznych w Holandii. Zadaniem tej akcji było uchwycenie mostów na Mozie, Waalu i Dolnym Renie — przy zastosowaniu desantów spadochronowych i szybowcowych, co miało otworzyć drogę przez barierę wielkich rzek 2. armii (lądowej) armii brytyjskiej.

Amerykańskie oddziały powietrzne zdołały wykonać swoje zadania i uchwyciły w stanie nieuszkodzonym mosty w Grave i Nijmegen. Zdobycie mostu w Arnhem, na Renie, powierzono brytyjskiej dywizji powietrznej, wzmocnionej przez spadochroniarzy polskich. Zadanie to było najtrudniejsze i również zostało wykonane, tzn. oddziały brytyjskie uchwyciły most od północy.

Niestety własne siły lądowe posuwając się w ciężkich walkach nie zdołały przyjść na czas, przyczółek północny został utracony i bitwa przyjęła obrót niespodziewany i dla sprzymierzonych wielce dramatyczny. Po bohaterskiej obronie brytyjskich i polskich oddziałów powietrznych i niemniej bohaterskich usiłowaniach polskich spadochroniarzy i jednego batalionu bryt. piechoty (Dorset) przyjścia z pomocą — resztki obrońców zostały wycofane z północnego brzegu Renu i trzeba było zadowolić się utrzymaniem fragmentów międzyrzecza Waal — Dolny Ren.

Bitwa o Arnhem zdobyła wielki rozgłos w W. Brytanii, ponieważ żołnierze, którzy wzięli w niej udział, wykazali wielkiego ducha, odwagę i poświęcenie.

Polska 1. Samodzielna Brygada Spadochronowa została utworzona w Szkocji z myślą użycia jej do akcji na ziemi polskiej, aby wspomóc Armię Krajową w chwili, kiedy rozwój wypadków pozwoli na wybuch ogólnego powstania Narodu Polskiego przeciw niemieckiemu najeźdźcy. Kraj wiedział o tym i wtajemniczone koła czekały z utęsknieniem na przylot tych pierwszych zwiastunów wolności. Widomym tego znakiem był sztandar wyhaftowany w okupowanej Polsce i przesłany Brygadzie drogami, które przejdą do legendy.

Wreszcie wymarzona chwila nadeszła, stolica Polski zerwała się do otwartej walki a zwycięskie wojska sowieckie stanęły u jej progu. W normalnych, ludzkich warunkach desant polskiej Brygady Spadochronowej pod Warszawą z równoczesnym uderzeniem sowieckich sił lądowych stałyby się hasłem do wybuchu powstania. Wynikiem takiej akcji byłoby napewno wspaniałe zwycięstwo wojsk współdziałających i druzgocąca klęska wspólnego wroga.

Niestety takie rozwiązanie nie odpowiadało kierownikom polityki sowieckiej. Bazy czerwonego lotnictwa zostały zamknięte dla samolotów z Zachodu, ofensywę armii czerwonej zahamowano, nie mogło być mowy o użyciu polskich spadochroniarzy, oddziały powstańcze walczyły w osamotnieniu na próżno wzywając na pomoc lotnictwo i wojska powietrzne.

W konsekwencji polska Brygada Spadochronowa znalazła się w bitwie o Arnhem, na przeciwległym krańcu broniącej się Rzeszy.

Ciekawe jest to, że chociaż te dwie bitwy: Warszawa i Arnhem — toczyły się w tak wielkim oddaleniu od siebie, z punktu widzenia czysto wojskowego, strategicznego i taktycznego, ujawniły dużo podobieństwa. W obu wypadkach chodziło o przełamanie bariery wielkiej rzeki, aby otworzyć przejście dla głównych sił. W obu wypadkach za rzeką, wśród zdezorientowanych i zdezorganizowanych wojsk nieprzyjacielskich pojawiły się nagle zażarcie walczące oddziały własne. W obu wypadkach walcząca na przedpolu awangarda była niezmiernie bliska połączenia się z siłami głównymi. W obu wypadkach polskie oddziały przedzierały się przez rzekę (w Warszawie, na mniejszą skalę, żołnierze z armii Berlinga). W obu wypadkach do połączenia nie doszło, wróg zyskał na czasie, zorganizował przeciwuderzenie, które przerodziło się w regularne oblężenie i w obu wypadkach siły główne nie wykorzystały ofiary awangardy i ogniska zażartej walki za rzeką zostały — zlikwidowane. Wreszcie tak Warszawa, jak i Arnhem — zostały przez główne siły zdobyte, ale w późniejszym terminie i za pomocą manewru oskrzydlającego.

Ale są to wszystko podobieństwa formalne, ponieważ przyczyny podobnych wyników poszczególnych faz i całości akcji były biegunowo przeciwne. Stąd i atmosfera obu bitew była zupełnie inna.

W bitwie o Arnhem siły lądowe nie przystąpiły do forsowania rzeki, ponieważ nie mogły — doszły bowiem do niej ostatkiem sił; ale nie powstrzymało to od dołożenia największych starań, aby odcięte oddziały powietrzne wydobyć z pułapki. W bitwie o Warszawę lądowe siły sowieckie, chociaż już się znajdywały na lewym brzegu Wisły, zrezygnowały nawet z uczynienia pozorów przyjścia z odsieczą, co dało Niemcom wolną rękę w obleganiu walczących dzielnic Warszawy.

W bitwie o Arnhem w miarę wykruszania się sił otoczonych na brzegu nieprzyjacielskim wzmagano ogień artylerii i działalność lotnictwa, aby przynajmniej w ten sposób przyjść z pomocą. W Warszawie czynna na początku artyleria sowiecka — zamilkła i upiorna cisza z tej strony frontu zaciążyła jak zmora nad stanowiskami powstańców.

W Arnhem siły lądowe wykorzystały ognisko walki w Driel utworzone przez polską Brygadę Spadochronową, aby dojść do rzeki i nawiązać łączność z oddziałami na drugim brzegu. W Warszawie ognisko walki, które wytworzyło się na przedpolu, na osi ofensywy, przyczyniło się do zmiany jej kierunku.

Kto zna technikę montowania wielkiego desantu powietrznego — wie dobrze, jak trudne i kosztowne jest takie przedsięwzięcie. Wymaga bowiem wysiłku przemysłowego (masowa produkcja specjalnego sprzętu lotniczego, broni, zaopatrzenia), skomplikowanego i niebezpiecznego szkolenia, drobiazgowo opracowanych planów — słowem pieniędzy, pracy, życia ludzkiego i czasu. W bitwie o Warszawę rolę takiego gigantycznego desantu na korzyść wojsk sowieckich, na daleko większą skalę — odegrało powstanie. Zupełnie darmo i z punktu widzenia czysto wojskowego — zupełnie bezinteresownie. Gdyby holenderski ruch oporu chciał i umiał zdobyć się na podobny wyczyn, nawet w stosunku do możliwości miasta Arnhem, desant brytyjskiej dywizji powietrznej i polskiej brygady spadochronowej byłby niepotrzebny w tym miejscu i całość akcji miałaby większe szanse powodzenia.

To nie jest zarzut pod adresem holenderskiego ruchu oporu, bo bohaterstwo polskiego miasta nie mieści się w granicach przeciętnego ludzkiego męstwa i ducha poświęcenia. To stwierdzenie, że czerwona armia nie chciała skorzystać z tego daru ze strony Narodu Polskiego, skazała powstanie na zagładę, a siebie na dodatkowe boje i na dodatkowe wielkie straty.

W tych warunkach nawet gdyby dowództwo sowieckie umożliwiło polskiej Brygadzie Spadochronowej lądowanie i przedarcie się na pomoc powstańcom, byłoby to tylko bezużyteczną ofiarą. Udział natomiast polskich spadochroniarzy w bitwie o Arnhem pozwolił im, walcząc z lepszym skutkiem przeciwko odwiecznemu wrogowi, nabrać wielkiego doświadczenia w posługiwaniu się jednym z najnowocześniejszych sposobów wojowania, którego zastosowanie w ubiegłej wojnie było zaledwie próbą i — podzielić się z innymi sławą bitwy o Arnhem.

EUGENIUSZ ROMISZEWSKI

Kwitnąca gałąź

Tak bardzo trudno jest pisać
Wiersze o słońcu i kwiatach,
Kiedy nad oknem nie zwisa
Gałąź kwiatami skrzydlata;

Kiedy nie błękit za oknem,
Lecz niebo brudne i szare,
I drzewa zimne i mokre . . .
. . . I życie, życie umarłe . . .

Tak bardzo trudno jest śpiewać
O bzach, jaśminach w rozkwicie,
Gdy smutek myśli zalewa,
I mówi — Jestem twym życiem.

Tak bardzo trudno jest pisać
Słowa, co szczęściem się śmieją,
Kiedy nad oknem nie zwisa
Gałąź, kwitnąca nadzieją . . .

HANNA WITKOWSKA

Przegląd tygodniowy

Kto się cofnie — Ameryka czy Rosja?

CORAZ GWAŁTOWNIEJSZY POJEDYNEK

Świat w dalszym ciągu z zapartym tchem śledzi wielki pojedynek amerykańsko-sowiecki. Debata na Zgromadzeniu ONZ nie była niczym innym, jak zajmowaniem stanowiska przez poszczególne państwa, ich opowiadaniem się po jednej lub drugiej stronie. Zadziwiająco mała jest ilość państw, które próbują być neutralne; w szczególności przemówienia reprezentantów W. Brytanii i Francji były bardziej zdecydowanie pro-amerykańskie, niż można było się spodziewać.

Co prawda niemała jest w tym zasługa p. Wyszyńskiego. Jakiekolwiek motywy kierowały jego histerycznym atakiem na „podżegaczy wojennych" i próbą nałożenia kagańca na prasę wolnego świata, efekt był tylko ten, że z jednej strony Europa zachodnia odczuła jeszcze silniej jaka przepaść dzieli ją od Sowietów, z drugiej zaś Stany Zjednoczone lepiej oceniły konieczność dopomożenia tym potencjalnym sojusznikom. Nie bez racji napisał korespondent „*Daily Mail*", że każde słowo Wyszyńskiego warte było milion dolarów z punktu widzenia planu Marshalla. Istotnie szanse, że Kongres uchwali konieczne kredyty znacznie wzrosły po tym sowieckim wybuchu: czego może nie zdołałoby osiągnąć poczucie solidarności i interesu gospodarczego, to zapewni lęk przed komunizmem...

Powstaje pytanie: co dalej? Za dawnych czasów po takim przemówieniu, jak Wyszyńskiego, delegacja rosyjska opuściłaby bezzwłocznie salę obrad. Nie do pomyślenia też byłoby, aby stosunki dyplomatyczne były utrzymywane przy tego rodzaju akompaniamencie obelg i wymysłów, jakie dziś codziennie miota na St. Zjednoczone prasa sowiecka. Jednakże stosunki międzynarodowe są dziś inne, niż kiedykolwiek przedtem. Nie można ich porównać nawet do okresu sprzed 1939. Np. bezpośrednio przed wojną prasa niemiecka zachowywała znacznie większy umiar wobec Brytyjczyków i Francuzów, niż dziś prasa sowiecka wobec Anglosasów.

1939—1947: PODOBIEŃSTWA I RÓŻNICE

Skądinąd zresztą jest wiele podobieństwa pomiędzy 1938—1939, a chwilą obecną. Ta sama wojna nerwów, ten sam brak zaufania i wiary w pokój, te same ruchy wojsk, przygotowania wojskowe itd. Dość wskazać na ostatnie doniesienia tak dalekiego od jakichkolwiek alarmów pisma, jak „*News Chronicle*", na temat wzmacniania przez Sowiety sił w Niemczech, dokąd przybywają nowe oddziały m.in. wojsk pancernych.

Ale nie należy posuwać porównania zbyt daleko. Między tamtym okresem, a chwilą obecną, jest jedna wprawdzie tylko, ale za to zasadnicza różnica. Oto w 1938—1939 istniało państwo, które wiedziało, że swych celów nie osiągnie bez wojny i które było na nią zdecydowane. Teraz natomiast oba mocarstwa, między którymi toczy się pojedynek, St. Zjednoczone i Sowiety, są przekonane, że mogą cel swój osiągnąć bez wojny i — tymczasem przynajmniej — szykują się wprawdzie do wojny, lecz toczyć jej nie chcą.

Jest przy tym pewnego rodzaju paradoksem, że obie strony wydają się w równej mierze liczyć na wewnętrzne załamanie się przeciwnika.

Sowiety, tradycyjnie przekonane, że system kapitalistyczny nosi w sobie zarodek własnego rozkładu, czekają na nieunikniony — ich zdaniem — kryzys gospodarczy w St. Zjednoczonych oraz zawalenie się gospodarki w Europie zachodniej. Niemalże codziennie ekonomiści sowieccy zapowiadają, że kryzys w Ameryce zacznie się „lada chwila". Moskwa, która doskonale zdaje sobie sprawę z tego, że w najbliższych latach nie jest w stanie prowadzić wojny ze względu na przewagę USA, mających bombę atomową, spodziewa się, że bez wojny w sensie wojskowym, samą tylko wojną polityczną zdoła wykorzystać kryzys amerykański i rozkład kapitalizmu, aby opanować zachodnią Europę oraz całą Azję.

NADZIEJE AMERYKI

Ze swej strony Waszyngton rozumuje bodajże w sposób dość podobny. Sądzi słusznie, że Rosja nie jest i nie będzie w stanie jeszcze przez długo — niektórzy Amerykanie mówią o 10, czy nawet 15 latach — prowadzić wojny. Jeśli w tym czasie — powiadają Amerykanie — zdołamy powstrzymać wszelką ekspansję sowiecką, przeciwstawiając naszą siłę sile sowieckiej, gdziekolwiek będzie ona napierała, to są szanse na to, że nastąpi załamanie wewnętrzne. W ciągu tego czasu może wydarzyć się wiele w ZSRR. Stalin może umrzeć, może toczyć się walka o władzę, mogą nastąpić poważne starcia w partii komunistycznej. W każdym zaś razie tego rodzaju system nie wytrzyma długo niepowodzenia swej polityki ekspansji.

Jest jednak jedna różnica między nadziejami obu mocarstw na to, że przeciwnika diabli wezmą. Oto Sowiety starają się ze wszystkich sił przyczynić się do rozkładu obozu zachodniego. Temu właśnie służą strajki i sianie chaosu we Francji, czy Włoszech, sianie zamieszania w W. Brytanii, próby pokłócenia poszczególnych państw Zachodu między sobą, itp. Temu celowi też służyło m.in. przemówienie Wyszyńskiego i cała obecna kampania przeciw rzekomym „podżegaczom wojennym": Moskwa sądzi, że dostarczy w ten sposób amunicji wszelakiej opozycji w Ameryce (Wallace i towarzysze),, w W. Brytanii (skrajne elementy *Labour Party*), we Francji itd.

Jak zwykle przecenia ona wpływy tych grup. Nie zdaje sobie także zupełnie sprawy z efektu takich zbrodni, jak zamordowanie Petkowa; zbrodnia ta nakazana została przez Moskwę Bułgarom, prawdopodobnie po to, by pokazać światu, jak Rosja czuje się pewna siebie. Ale nie przewidziano w Moskwie, że stygmat tej zbrodni piętnować odtąd będzie wszystkie elementy komunistyczne na świecie.

W każdym razie w przeciwieństwie do Sowietów St. Zjednoczone nie czynią, jak dotąd, żadnego zdecydowanego wysiłku, aby przyśpieszyć owe zmiany w Rosji. Liczą widocznie, że przyjdą one same. Sądzą, że jeżeli nie nastąpi nawet żaden przewrót, to przynajmniej oficjalna polityka sowiecka będzie musiała zatrąbić na odwrót.

KTOŚ MUSI SIĘ COFNĄĆ...

Ile jest w tym słusznego rozumienia, a ile złudzeń i typowego dla Anglosasów „*wishful thinking*" — to znaczy brania życzeń za rzeczywistość — pokaże przyszłość. W każdym razie wydaje się, że obecny stan rzeczy nie może trwać zbyt długo. Ani nie jest do pomyślenia, by ONZ mogło długo istnieć w obecnej postaci, ani też — zakładając, że nastąpi w jakiejś formie rozłam w ONZ, wyjście z niej ZSRR oraz jego satelitów i ostateczne przypieczętowanie podziału Niemiec — nie można sobie wyobrazić jako tako pokojowego współżycia obu światów pomiędzy którymi wszystkie więzy zostały zerwane.

Albowiem w tej sytuacji nawet wspomniana już niechęć obu stron do wojowania mogłaby nie wystarczyć: rosnące napięcie wytworzyłoby stan rzeczy w którym lada incydent mógłby spowodować wybuch. Dlatego wydaje się, że jeżeli nie ma dojść do konfliktu, będzie musiało nastąpić znowu jakieś odprężenie choćby przejściowe.

Aby jednak nastąpiło odprężenie, ktoś musi pójść na ustępstwa: albo St. Zjednoczone albo Rosja, albo jedna i druga strona. Pytanie więc które trzeba sobie zadać, jeśli chce się nieco wybiec naprzód i przewidzieć przyszłość, brzmi: kto będzie musiał się cofnąć?

Nie podobna wykluczyć, że St. Zjednoczone znowu wejdą na drogę ustępstw, ale nie wydaje się to przy obecnych nastrojach w Ameryce prawdopodobne. Albowiem między USA, a ZSRR jest jeszcze ta różnica, że pierwsze, choć — wbrew twierdzeniom Wyszyńskiego — nie są skłonne zacząć wojny, to jednak mogą ją dziś prowadzić z pewnością zwycięstwa, podczas gdy Sowiety w żadnym razie nie są dziś w stanie ryzykować wojnę.

Dlatego wydaje się, że raczej musiałyby pójść na ustępstwa Sowiety.

SOWIETY PRZED WIELKĄ DECYZJĄ

Doświadczenie uczy, że Stalin umie się cofnąć, gdy jest to koniecznością. Różni się pod tym względem od Hitlera. Oczywiście, jeśliby nawet nastąpił odwrót sowiecki, to byłby czysto taktyczny i podyktowany przekonaniem, że przyszłość i tak należy do systemu sowieckiego.

Ale czy nastąpi? Jak dotąd nic nie wskazuje, by można było oczekiwać podobnej zmiany, jak ta, która nastąpiła na wiosnę 1939, gdy Litwinowa zastąpił Mołotow i Zw. Sowiecki od polityki zbiorowego bezpieczeństwa przeszedł do polityki agresji — zmiany oczywiście w odwrotnym kierunku. Przeciwnie, chwilowo Rosja zaostrza jeszcze bardziej swą linię agresywną, wzmaga ataki i miota się na wszystkie strony.

Jednakże wydaje się, że w chwili obecnej toczą się w Sowietach narady, których wynik może być nader doniosły. Lęk przed wojną, która by nastąpiła przedwcześnie, tj. zanim Sowiety byłyby do niej gotowe, jest z pewnością silny. Jest więc nad czym się zastanawiać.

Do Nowego Jorku pojechał Wyszyński, nie Mołotow. Ten ostatni nie był ostatnio przez dłuższy czas w Moskwie. Tak samo nie było Stalina, który długie tygodnie spędził nad Morzem Czarnym. Uroczystości z okazji 800 lecia Moskwy wykazały, że w stolicy nie ma także Berii, ministra obrony narodowej Bułganina, Kaganowicza, szefa sztabu marsz. Wasilewskiego oraz dowódców sił lądowych, marynarki i lotnictwa. Trudno sobie wyobrazić by wszyscy na raz byli na wakacjach. Raczej więc trzeba sądzić, że toczą się doniosłe i długotrwałe narady, zapewne w rezydencji Stalina w Soczi.

Co będzie ich wynikiem: odwrót osłaniany zresztą potężnym wrzaskiem, czy też nowe prowokacje, nowe wyzwania i próby sił? Nie powinniśmy czekać zbyt długo na odpowiedź.

Londyn, 27 września 1947

ALEKSANDER BORAY

W oczach obcych

Aczkolwiek w ostatnich czasach nastąpiła niewątpliwie znaczna poprawa, jeśli chodzi o stosunek związków zawodowych do sprawy zatrudnienia Polaków i opory *Trade-Unionów* zostały w dużej mierze przełamane, prasa brytyjska nadal powraca do tych zagadnień, protestując przeciw postawie tych związków, które, głównie pod wpływem komunistów, zajmują stanowisko anty-polskie. Szczególnie gorąco bierze Polaków w obronę katolicki tygodnik „*Tablet*", który potępia próby zepchnięcia Polaków do najniższych kategorii zatrudnienia. Pismo rozprawia się z przywódcą górników Hornerem, który — jego zdaniem — jest odpowiedzialny w znacznej mierze za to, że tak wielu Polaków jest jeszcze niezatrudnionych. „*Tablet*" pisze:

„Już prawie czterdzieści tysięcy członków Korpusu Przysposobienia czeka na to, by znaleziono dla nich pracę — znacznie więcej, niż liczba tych, dla których znaleziono już zatrudnienie, a dalsze tysiące napływają do W. Brytanii z różnych części świata, gdzie złożyli broń po zakończeniu wojny. Wielu z nich to ludzie wykwalifikowani i wielu miałoby z tytułu swych kwalifikacji prawo do zaliczenia do kategorii kierowniczej, wolnych zawodów, administracji czy dyrekcji, aczkolwiek małe są dla nich nadzieje awansu do tego poziomu. Ale przy najskromniejszych żądaniach mają oni prawo do zaliczenia do rezerwuaru siły roboczej tak, by nie byli wybierani tylko do najmniej przyjemnych zajęć. W chwili obecnej są poszukiwani do pracy w kopalniach węgla, natomiast nawet jeśli są wykwalifikowanymi mechanikami odmawia się przyjęcia ich do zakładów metalurgicznych".

„*Tablet*" następnie zajmuje się szeroko sprawą t.zw. „opornych", witając z zadowoleniem postępy, osiągnięte w wyniku inicjatywy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i po przedstawieniu postulatów „opornych" wysuniętych podczas zorganizowanego przez SPK spotkania z oficerami brytyjskimi, apeluje o szybkie danie im możliwości pracy w W. Brytanii.

Ze swej strony tygodnik „*The Spectator*" zamieszcza interesujący list podpisany przez „urzędnika państwowego" a protestujący przeciw stanowisku związków kontrolowanych przez komunistów. Autor pisze w konkluzji:

„... trzeba zmusić związki, by decydowały o tych sprawach nie mniejszości komunistyczne, które je kontrolują, lecz głosowanie wszystkich członków. Przyzwoite, życzliwe masy członków związków zawodowych rozumieją pojęcie lojalności, a duch brytyjskiej tolerancji jeszcze wśród nich nie zaginął".

LECTOR

Cztery dni sesji Rady Głównej SPK

Czterodniowe obrady Rady Głównej Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, które miały miejsce w Londynie w dniach 20—24 września, są wydarzeniem zasługującym na szczególną uwagę. Po Walnym Zjeździe z czerwca rb., na którym zakreślono ramy organizacyjne i sformułowano wytyczne pracy ideowej i samopomocowo-gospodarczej, zebranie wyłonionej przez ten Zjazd Rady Głównej — to dalszy etap w montowaniu wielkiego ruchu kombatanckiego.

W trudnych warunkach, w jakich przypadło nam dziś żyć i działać poza granicami Ojczyzny, zjazdy i zebrania, gromadzące przedstawicieli różnych ośrodków uchodźczych, nie są zjawiskiem codziennym. Już choćby tylko w świetle tego stwierdzenia jasno uwypukla się wielka rola wspomnianej sesji Rady Głównej SPK, zastępującej niejako zjazd delegatów Oddziałów i powołanej do nadawania kierunku pracom Zarządu Głównego, rozpatrywania jego sprawozdań oraz zatwierdzania rocznych budżetów Stowarzyszenia.

Uchwalenie pierwszego budżetu na rok 1947/48 było głównym celem obrad. Budżet daje jednak zawsze dobrą okazję do przedyskutowania i sprecyzowania wytycznych pracy programowej oraz uwypuklenia w tym zakresie problematów naczelnych. Nie omylimy się chyba, jeśli stwierdzimy, że właśnie wyłonienie i jasne zarysowanie się kilku z tych p r o b l e m a t ó w było największym dorobkiem dyskusji.

SPK SPADKOBIERCĄ PSZ

Stowarzyszenie Polskich Kombatantów postawiło sobie ambitne zadanie zmontowania w wielkiej organizacji społecznej żołnierzy i b. żołnierzy Polskich Sił Zbrojnych. Stanowi więc ono formę przejścia z organizacji wojskowej na organizację cywilną, w której rozkaz zastąpiony ma być wewnętrzną dyscypliną zrzeszenia ludzi świadomych swych celów i zadań. Można i należy się spodziewać, że z biegiem czasu SPK stanie się pełnym spadkobiercą Polskich Sił Zbrojnych w znaczeniu moralnym i organizacyjnym, przy czym — co rozumie się samo przez się — spadkobierca ten musi przystosować przejęte wartości do zmienionych warunków bytu i pracy. Jak długo jednak istnieją polskie władze wojskowe, organizacja społeczna, obejmująca czynnych jeszcze i byłych żołnierzy, musi szukać ułożenia z tymi władzami jak najlepszych stosunków w o g ó l n y m i o b o p ó l n y m i n t e r e s i e wykonywanej pracy. Opinia Rady wyraziła się we wniosku:

„Rada Główna SPK stoi na stanowisku konieczności ułożenia jak najlepszych form współpracy z Władzami Wojskowymi na płaszczyźnie wzajemnego zaufania, pełnego poszanowania niezależności organizacyjnej SPK, jako organizacji społecznej, i wyraźnego określenia sfer działania Wojska i SPK, w zakresie opieki nad b. żołnierzem, w sposób, zapewniający pełną swobodę poczynań SPK w granicach zakreślonych Statutem i uchwałami Zjazdu. Rada Główna przywiązuje dużą wagę do harmonijnej współpracy z Władzami Wojskowymi w myśl powyższych zasad i wzywa Zarząd Główny do dalszej akcji w tym kierunku".

SPRAWA ŚRODKÓW MATERIALNYCH I ICH LOKATY

Z tym wiąże się drugie wielkie zagadnienie: n i e w s p ó ł m i e r n o ś ć posiadanych środków, nawet przy najlepszym ułożeniu współpracy z władzami wojskowymi, do olbrzymich potrzeb społecznej pracy kombatanckiej. Niewspółmierność ta nakazuje z bólem serca poniechać lub mocno zacieśnić niektóre dziedziny działalności w myśl pewnej hierarchii zadań programowych, którym Rada Główna SPK poświęciła dużo miejsca w swych obradach.

Tak więc wiele niewątpliwie palących dziś zadań w dziedzinie wydawniczej czy oświatowej musi ustąpić miejsca zakładaniu i organizowaniu przede wszystkim ognisk polskich przez Władze Główne i Oddziały, a szereg wydatków o charakterze konsumcyjnym winien ulec ścieśnieniu na rzecz inwestycji długofalowych o charakterze trwałym. W myśl tej wytycznej Rada Główna szczególnym rozważaniom poddała sprawę wydatków osobowych, w dążeniu do ograniczenia personelu biurowego do niezbędnego minimum, oraz potwierdzając pośrednio jeszcze raz wyrażoną w statucie SPK zasadę, że członkowie władz Stowarzyszenia nie mogą otrzymywać wynagrodzenia z tytułu pełnionej przez nich funkcji mimo, że dla szeregu Kolegów w Zarządzie Głównym i w Zarządach Oddziałów zagadnienie to występuje dziś w sposób coraz bardziej ostry.

Sprawa l o k a t y f u n d u s z ó w Stowarzyszenia jest dalszym zagadnieniem, które — na tle szczupłości środków i z uwagi na konieczność przezornej polityki finansowej dla zabezpieczenia realizacji zadań ruchu kombatanckiego na długą metę — zaprzątnęło uwagę Rady. W tym zakresie uznano za celowe utrzymanie szeregu przedsiębiorstw dochodowych, wypowiadając się jednak przeciwko lokatom w spółkach prywatnych, które, mimo, że mogą być intratne, nie odpowiadają celom programowym Stowarzyszenia.

BLIŻEJ TERENU I BLIŻEJ CZŁOWIEKA

Dalszą sprawą, która wystąpiła z całą jaskrawością w obradach Rady Głównej, jest zagadnienie d e c e n t r a l i z a c j i zadań organizacyjnych z Zarządu Głównego na Oddziały. W umotywowaniu tej potrzeby szczególnie przedstawiciele z „Kontynentu" mieli dużo do powiedzenia, zapoznając Radę ze specjalnie trudnym położeniem rzesz kombatanckich na tych terenach, gdzie liczba b. żołnierzy polskich jest znacznie większa niż w Wielkiej Brytanii, a środki materialne i możliwości pomocy niemal żadne.

To zagadnienie jest zwłaszcza dotkliwe na terenach okupacyjnych w Niemczech, oraz występuje bardzo ostro we Francji i w Belgii, dokąd przybywają masowo b. żołnierze polscy z Niemiec w poszukiwaniu pracy.

Niezależnie od powziętych w tym zakresie decyzji Rady Głównej, zmierzających do przyjścia tym terenom z pomocą, musiano stwierdzić, że rozwiązanie tego problematu przekracza dzisiejsze możliwości SPK i może być dokonane tylko wielkim wysiłkiem wszystkich czynników i organizacji polskich, podobnie jak wiele innych zadań specjalnych, terenowych i ogólnych.

Dyskusja na te tematy była bardzo pouczająca, wykazując, jak bardzo celowy w pracy kombatanckiej jest ż y w y i b e z p o ś r e d n i k o n t a k t Organizacji z człowiekiem, który pomocy tej organizacji potrzebuje. Da się to osiągnąć tylko przez przebudowę organizacyjną Stowarzyszenia i wspomniane, możliwie jak najszersze przerzucenie zadań centralnych na Oddziały i Koła, jako ogniwa najbliższej styczności z członkami Stowarzyszenia.

WAŻNE WYDARZENIE I DONIOSŁY ETAP

W tych kilku zwięzłych punktach ujęliśmy tylko część tych wszystkich spraw i zagadnień, które przewinęły się i nabrały kształtu i barwy, w obradach ostatniej Rady Głównej. Brali udział w tych obradach członkowie Rady — przedstawiciele ruchu kombatanckiego z Wielkiej Brytanii, Francji, Belgii, Okupacji Brytyjskiej i Amerykańskiej, Szwajcarii i Środkowego Wschodu. Nie mogli przybyć z powodu przeszkód technicznych członkowie Rady z Italii, Szwecji, Kanady, okupacji francuskiej i Tasmanii. Z samego zestawienia tych kilku problematów uwidocznia się powaga obrad Rady Stowarzyszenia, które posiada dziś do rozwiązania doniosłe s p r a w y o z a s i ę g u ś w i a t o w y m.

Powiedzieliśmy na wstępie, że Zjazd Rady Głównej SPK był dalszym etapem w montowaniu wielkiego polskiego ruchu kombatanckiego. Stwierdźmy jeszcze w zakończeniu, że był on również szkołą porozumienia się różnych środowisk we w s p ó l n e j akcji wiodącej do tego celu, na platformie wzajemnego zapoznania się z potrzebami i możliwościami i w atmosferze szukania rozwiązań, mających na widoku całość ruchu kombatanckiego i jego dobro ogólne.

Szwajcaria

JANUSZ RAKOWSKI

Z życia Polskiej YMCA

Polska YMCA dla zapewnienia należytej rozrywki kulturalnej 150 hostelom prowadzonym przez Y.M.C.A. Brytyjską oraz 50 świetlicom własnym, stwarza 2 zespoły rozrywkowe. Akcją kulturalną będą objęte przede wszystkim drobne hostele rolnicze, do których rzadko, albo wcale nie docierają teatry, czy też teatrzyki żołnierskie.

W najbliższym czasie powstaną dwa zespoły literacko-muzyczne, sześcio- i cztero-osobowe. Zespoły te rozpoczęły swą pracę już 22 września rb.

W trakcie organizowania jest zespół koncertowy oraz kilka czołówek filmowych.

Należy przypuszczać, że dzięki tej inicjatywie w ciągu najbliższych już miesięcy polskie słowo i muzyka dotrą do każdej, niewielkiej nawet grupy Polaków w W. Brytanii.

NASZ ZNAK

STOWARZYSZENIE POLSKICH KOMBATANTÓW

ROK I 4 PAŹDZIERNIKA 1947 Nr. 25

Ostrożnie z Brazylią!

Informacje otrzymane z Rady do Spraw Osiedlenia Uchodźców Polskich.

Polskie organizacje społeczne i zawodowe niejednokrotnie ostrzegały uchodźstwo, że nie należy się zgłaszać do pracy w charakterze robotników rolnych do krajów tropikalnych i subtropikalnych. Niektórzy z uchodźców, uważając widocznie informacje podane w ostrzeżeniach za przesadzone lub też sądząc, mylnie jak się okazało, że zgłoszenie się na robotnika rolnego otworzy im możliwości wjazdu do danego kraju, gdzie będą mogli swobodnie wybrać sobie zajęcie i miejsce zamieszkania, zdecydowali się na wyjazd na pracę w charakterze robotników rolnych.

Podane wyjątki listów otrzymanych z Brazylii pochodzą od osób znających dokładnie tamtejsze warunki. Listy te obrazują jasno, że warunki, na jakie liczyć musi każdy emigrant do Brazylii jako robotnik rolny, są tego rodzaju, że przyjęcie ich równa się własnowolnemu skazaniu siebie i rodziny na nędzną wegetację na najniższym poziomie życia, bez widoków poprawy.

24.7.47.

„Już w ub. roku pisałem o zamiarach tutejszych czynników zatrudnienia DP jako robotników rolnych na fazendach. Twierdziłem, że jest to praca całkowicie nieodpowiednia dla robotników z Europy, a szczególniej polskich, motywując to zarówno warunkami mieszkaniowymi, jak i ogólnym trybem życia, które są w przeważnej części na tak niskim poziomie, że nie mogą zaspokoić nawet najprymitywniejszych potrzeb naszego Poleszuka. Nędza, brud, prymityw, a do tego choroby spowodowane przez klimat czy ukąszenie.

Dla wyjaśnienia podaję, że każda grupa emigrantów po zejściu na ląd jest osadzona w obozie przejściowym pod Rio. Jest to rodzaj kwarantanny oraz załatwianie formalności paszportowych. Emigrant dostaje kartę identyczności w której od razu jest zaznaczone, że o ile jest rzemieślnikiem, nie ma prawa osiedlić się w stolicach, federalnej i stanowych, tylko na interiorze; w wypadku zaś gdy się podał za rolnika — nie wolno mu zająć się inną pracą jak na roli. Ponieważ przy werbowaniu w Niemczech rolnicy byli uprzywilejowani, więc znaczna ilość DP, nawet inteligencji, nie mając pojęcia, co ich czeka, podała się za rolników, widząc w tym możność wydostania się z Europy. Teraz są zmuszeni iść jako robotnicy rolni do pracy ciężkiej. w warunki nędzne.

Z obozu rioskiego emigranci są rozdzielani do specjalnych podobnych obozów znajdujących się w niektórych stanach, z których są rozdzielani na poszczególne fazendy, według zgłoszonych zapotrzebowań na ręce robocze. I na tym się kończy rola czynników rządowych. Dalsze losy emigrantów są już całkowicie w rękach fazenderów, a raczej ich administratorów, ludzi prostych, nieokrzesanych.

Znam wiele fazend — przed wojną byłem administratorem dużych plantacyj kawowych i bawełnianych — znam życie i warunki pracy na fazendach, znam traktowanie robotnika rolnego i jego możliwości zarobkowe i twierdzę, że tylko w rzadkich wypadkach taki robotnik może się czegoś dorobić. Zazwyczaj jego płaca wystarczać mu może na przeżycie n.b. bardzo nędzne.

W większości wypadków robotnik wybiera zaliczki w naturze czy gotówce, tak że wiecznie jest zadłużony u fazendera i nie ma sposobu z tych długów się wydostać. Kaboklo radzi sobie w takich razach w ten sposób, że w nocy ucieka z fazendy razem z rodziną i manatkami, wędruje na piechotę kilka czy kilkanaście dni, nieraz do innego stanu i tam przyjmuje pracę na nowej fazendzie, aby po pewnym czasie powtórzyć ten proceder. Fazenderzy wiedzą o tym i ograniczają w miarę możliwości kredyt, nie mogąc go całkowicie skasować, bo ludzie muszą mieć siły do pracy".

Rio de Janeiro, 14.8.47.

„... Utarło się pojęcie, nie wiadomo, czy pod wpływem akcji prasowej, czy ukrytych wpływów komunistycznych, że DP nie przedstawiają elementu korzystnego, bo są to ludzie, którzy do Niemiec dostali się przypadkowo, gdyż Niemcy nie wywozili jednostek, które produktywnie pracowały, lecz ludzi wałęsających się i niezatrudnionych.

W wielu wypadkach przyjezdni po kilku czy kilkunastu dniach opuszczali pierwotne miejsce pracy i szukali szczęścia na własną rękę. Takich starają się Brazylijczycy z powrotem odstawić do Europy. Na ogół więc nieporządek, zarzuty wzajemne — uważać należy jako konsekwencje braku planu. Czynniki miejscowe są też zaskoczone, że imigranci nie wszyscy są zachwyceni tym, co tu zastali".

Podając powyższe informacje, jeszcze raz pragniemy zwrócić uwagę na niebezpieczeństwa, jakie grożą uchodźcom, którzy nie oglądając się na nic, decydują się na podejmowanie prac, których wykonywanie w warunkach panujących w krajach tropikalnych i subtropikalnych skazuje ich na najnędzniejszą wegetację w warunkach życiowych nieodpowiadających w zupełności wymaganiom Europejczyka.

Za jednego szylinga

— Płacę już kilka miesięcy składki do tego SPK, a tymczasem nic z niego nie korzystam. Nie wiem, co to jest właściwie, czy to jakiś nowy „fundusz społeczny wojska", czy ... bo ja wiem.

— Tak, kolego, my także płacimy składki i ostatecznie nie żałujemy tego — odzywa się dwóch innych — ale czy, aby ktoś nie bawi się za te pieniędze w Londynie? Czego właściwie można się spodziewać dla siebie od SPK?

— Czekajcie, po kolei — mówię. — Tamten kolega powiedział, że płacił kilka miesięcy do SPK składki i nic nie skorzystał. Powiem wam to krótko: Kto z was pamięta dawne „Kasy Chorych" w Polsce? Wszyscy — prawda? A więc o ile wiem, to składki płacili wszyscy robotnicy, ale każdy z nich dziękował Bogu, gdy nie potrzebował korzystać z tej kasy! Po prostu dlatego, że ... wolał płacić a — nie chorować. Natomiast dużo innych ludzi, którzy byli naprawdę chorzy — korzystali dość dużo z kasy chorych, korzystali daleko więcej, niż wpłacili składek — i ci napewno nie żałowali swego członkostwa.

Tak jest w pewnym sensie i z SPK. Dużo jest jeszcze wśród nas takich, którzy za wpłaconego szylinga — chcieliby zaraz mieć funta z powrotem. Tacy ludzie wszystko obliczają tylko w pieniądzach! Dla nich nie ma innych, niematerialnych wartości. A tymczasem nie wszystko można mierzyć na metry i szacować na funty czy dolary. Są wartości niewymierne, a jednak wartości takie, których nie kupuje się za pieniądze.

Otóż jeśli chodzi o SPK, to jego niematerialną wartością jest to, że łączy i koordynuje pracę byłych żołnierzy, przez co stanowi poważną siłę moralną. Kwestia istnienia SPK jest kwestią ważną i zasadniczą, bo przez SPK możemy nie tylko reprezentować nasze oblicze polskie, ale i bronić swoich praw osobistych.

Dla SPK nie jest sprawą bez znaczenia, czy będzie tych członków 1000 czy 100.000! Jeśli Centrala SPK ma mieć swój głos w doraźnych naszych sprawach, to siła tego głosu jest właśnie zależna od ilości reprezentowanych członków. Inaczej się liczy z centralą stowarzyszenia, gdy reprezentuje ona 80.000 członków, a zupełnie inaczej, gdy reprezentuje tylko — 800.

Dlatego powiadam, choćby to było tylko w tym jednym celu — warto odżałować tego szylinga na miesiąc.

Ale myślę, że każdy z was zdaje sobie sprawę, że może i coś więcej skorzystać z SPK. Trzeba tylko czytać prasę kombatancką, a wtedy koledzy nie zadawaliby mi pytań, jak możecie już obecnie skorzystać z SPK.

Byłem delegatem naszego koła na II-gim Walnym Zjeździe SPK i mogę powiedzieć, że ... nie tak łatwo użyć choćby 1 funta „na zabawy", bo z każdego funta Zarząd musi się wyliczyć najpierw przed Komisją Rewizyjną z 11-tu osób, a później przed Walnym Zjazdem przy wyborach. Do nowej Rady Głównej SPK wybrano 45 kolegów z różnych stron, do Zarządu wchodzi ich ponad dziesięciu. No, wybaczcie, jeszcze 5-iu ludzi mogłoby się ... zmówić i zrobić coś „na lewo", ale 45-iu ludzi nie da się oszukać i nie pozwoli na oszustwo 65.000 członków. Czy są jeszcze wątpliwości?

— Dziękujemy. Trochę nam się rozjaśniło ... Dobranoc ...

— Dobranoc koledzy! A w razie jakiejś potrzeby — to wiecie, gdzie pracuję. Czołem!

* * *

Przed kilku dniami zgłasza się do mnie jeden z moich rozmówców i powiada:

— Kolego plutonowy, może pan mi coś poradzi z tym świstkiem. Ledwie zacząłem pracować w kamieniołomach, a już przysyłają mi jakieś „*income-tax*", który trzeba wypełniać — po angielsku. Już pytałem kilka naszych „Anglików" i żaden nie potrafi tego zrobić.

— Dobrze, zaraz zrobimy! Kolega jest przecież członkiem SPK i ma prawo nie tylko prosić, ale i żądać zrobienia tego od Koła. A już rzeczą Koła jest, kto to ma zrobić. Ale w tym wypadku szczęśliwie ja sam to załatwię.

Po załatwieniu formalności z wypełnieniem „zeznania o dochodzie" dla Inspektora Podatkowego na odchodnym powiedziałem mojemu klientowi:

— A widzi kolega, to jest właśnie doraźna korzyść z SPK. Dla kogo innego mógłbym zrobić albo nie, mógłbym darmo albo za ... 5 szylingów. Kolega ma to bezpłatnie, a raczej za 1 s. na miesiąc.

Tak więc do tej pory z takimi samymi papierkami „*income-tax*" przewinęło się już kilkunastu. „Papierków" tego lub innego rodzaju jest coraz więcej ...

* * *

W ostatnich dniach zgłasza się do mnie kolega, który miesiąc temu został zatrudniony na farmie u Walijczyka i głosem wielce strapionym zaczyna opowiadać o swoim zatargu z gospodarzem. Okazuje się, że gospodarz nie tylko źle go traktował, ale i nie chciał wypłacać mu należności za przeszło 50 godzin pracy nadliczbowej tzw. „*overtime*".

Były i inne zatargi tak, że mój kolega - interesant postanowił odejść z pracy, by poszukać innej.

Ponieważ sam nie mógł się rozmówić z gospodarzem po angielsku, więc był po prostu bezradny. Nie umiał nikomu wytłumaczyć swej krzywdy, a przecież bądź co bądź obliczał, że należy mu się około 6 funtów za ten „*overtime*". Obiecałem więc mu, że w razie potrzeby skierujemy sprawę do właściwego sądu za pośrednictwem Biura Informacji i Porad SPK w Londynie, które ma swoich polskich i angielskich prawników, ale narazie spróbujemy rozmówić się z gospodarzem.

Wsiedliśmy na rowery i pojechaliśmy na tę farmę.

Przedstawiam się gospodarzowi, że jestem z „*Polish Combattants Association*" i przyjechałem celem załatwienia sprawy wynagrodzenia za „*overtime*" dla naszego członka. Jednocześnie uprzedzam, że o ile nie zechce zrobić tego dobrowolnie, to sprawa zostanie skierowana do władz brytyjskich przez naszą Centralę. Farmer słuchał uważnie, coś medytował, coś tam paplał po walijsku z synem i powiada:

— „*All right*", załatwimy to jutro. Zresztą nigdy nie zaprzeczałem, że należy mu się „*overtime*".

Mniejsza z tym, odmawiał czy nie odmawiał płacić. Faktem jest, że widocznie przekonał się, że lepiej nie ryzykować, aby odpowiednie władze miały interweniować.

Na drugi dzień wypłacił należność.

Cóż mogę dodać? Chyba to, że tym ostatnim moim interesantem był właśnie ten kolega, który powiedział kiedyś: „Płacę już kilka miesięcy składki do tego SPK a tymczasem nic z niego nie korzystam".

Beaumaris, we wrześniu

JAN DASZKIEWICZ

Nasza młodzież

Wrażenia z harcerskiej kolonii letniej w Rivenhall Camp

Kolonię harcerską odwiedziłem w charakterze ojca przyjeżdżającego do syna, nie notowałem więc nazwisk, statystyk — szukałem jedynie odpowiedzi na pytanie: czy dzieciom jest tu dobrze, czy są zdrowe, otoczone opieką, szczęśliwe? Dlatego przyjeżdżałem tu często, łaziłem z dzieciakami na harcerskie ćwiczenia, przysłuchiwałem się wykładom, zaglądałem do garnków w kuchni i do talerzy na stole, byłem w szpitaliku, „zasiadałem" przy ognisku harcerskim, byłem razem z dziećmi w pobliskim stawku na kąpieli.

Wszystkim byłem szczerze zachwycony, bo widziałem dzieci roześmiane, zdrowe, rozbawione, musztrujące się nawzajem, wyraźnie szczęśliwe.

Kolonia harcerska już się skończyła. Pracę przeniesiono do polskich Ognisk i Domów Harcerskich, które znajdują się w niektórych większych miastach brytyjskich. W Rivenhall Camp, gdzie miało swoje wygodne pomieszczenie w poamerykańskim lotniczym *campie* — mieści się teraz grupa obozów polskich rodzin wojskowych.

Będę tam często wracał pamięcią, w czasy, gdy cały olbrzymi obóz wypełniał się radosnym hałasem zdrowej, dobrej i urodziwej dzieciarni.

Wspomnienia najczęściej zaczynać się będą na przystanku autobusowym w Rivenhall Camp, skąd spacerem w zbożem pachnącym plenerze jakby polskiej wsi dostaniemy się, my przyjezdni goście - rodzice, do obozu Kolonii Harcerskiej. Po drodze złudzenie wsi podkrakowskiej czy wielkopolskiej jest tak uderzające, że każdy zwraca na to uwagę. Widnokrąg — jak na wieś przystało — ozdobiony koroną pobliskiego lasu.

Wreszcie powitanie z dziatwą. Nie dla wszystkich radosne. Mój syn nie może oddalić się z szeregu. Zaraz po kolacji w sporej grupce takich samych łobuzów idzie na „karne ćwiczenia". Okazuje się, że na poprzedniej zbiórce gadał w szeregu, kręcił się i w ogóle ...

Przypatrując się tej mustrze wychowawczej dusimy się z żoną ze śmiechu, ale robimy groźne miny. Mały nas obserwuje po kryjomu, ale boi się skrzyżować spojrzenie. Poczuwa się do winy. Boże, daj zdrowie temu wychowawcy z prawdziwego zdarzenia, któremu się chce po kolacji, zamiast odpoczynku, zajmować rozpuszczonymi bachorami!

Ćwiczenia się skończyły. Nasz też wraca. Silę się na ojcowską reprymendę, ale gwizdek na zbiórkę wyjaśnia sytuację ... Idziemy do lasu. Tu radosna nowina: syn dowiaduje się, że został przyjęty do harcerstwa i przydzielony do zastępu. Sam nie wiem, kto jest dumniejszy: syn czy ja? Potem hasanie po krzakach, tropienie „nieprzyjaciela", który zaległ w „dżungli". Mały wraca rozpromieniony, szczęśliwy. Inni — chyba jeszcze bardziej, bo ... nie mieli przedtem ćwiczeń karnych.

Przed 9-ą modlitwa, mycie i do wygodnych łóżek w murowanych czystych barakach. Rodzice - goście znajdą wygodny nocleg w jednej z „beczek śmiechu", podzielonej na małe pokoiki.

Następnego dnia niedziela. Msza św. w kościółku wypełnionym blaskiem wspaniałej pogody, blaskiem włoskiej Madonny z ołtarza i dziecięcych główek pochylonych w modlitwie. Śpiew głośny i dźwięczny harmonizuje z prostym kazaniem księdza o Aniele-Stróżu ... Jedyny przykry moment to mimowolne pytanie przy końcu Mszy:

— Jak długo jeszcze będziemy śpiewali: „... racz nam wrócić, Panie"?

Później znowu las, jeżyny, zielona przestrzeń, *week-end*, o jakim dotąd tylko marzyłem. Po krótkiej sjeście poobiedniej wyprawa do pobliskiego stawu na kąpiel. Pływam w krystalicznej wodzie opuszczonej glinianki i cieszę się radością dzieciarni pluskającej się pod opieką instruktora wychowania fizycznego.

Wieczorem ognisko. Dzisiaj widowisko dają dzieci najmłodsze. Rozczulająca nieporadność sześcio- i ośmio-letnich wykonawców, przejętych do głębi najszczerszą wiarą w istotną prawdę sztuki — robi nadspodziewanie silne wrażenie.

To można znaleźć tylko wśród dzieci i to właśnie przy ognisku, bez dekoracyj i w zaimprowizowanych strojach. Dzieciaki „dawały" tego wieczoru „dramat historyczny" o Kraku. Widownia wzruszała się i pękała ze śmiechu! Kraka w szczerozłotej koronie z papieru i ze srebrnym berłem też z papieru, „grał" z należytą powagą sześcioletni bąk. Jeszcze przed paru godzinami ten sam bąk rozpaczał był bliski histerii z powodu odjazdu mamusi, która go odwiedziła. Teraz przejęty rolą, w płaszczu królewskim z koca, wyrywa się na sam środek ogniska. Barana robią cztery dziewczynki nakryte białym prześcieradłem, smoka — czterech chłopców pod kocem. Później taki „smok" pożre „barana" i zdechnie ...

Ognisko skończone. Robimy „przyjacielskie koło" i wspólnie śpiewamy: „Idzie noc ..." Po opuszczeniu sztandaru modlitwa i do .. łóżka.

W poniedziałek znowu to maszerowanie i to dowodzenie wzajemne. Warto to widzieć! Dzieci są podzielone na zastępy, którymi dowodzą rówieśnicy. I ci prowadzą swoje oddziałki w szyku zwartym, w ostrym rygorze! To nie soldateska, to nie ćwiczenia dla „wodzów" i „przywódców". Nie ma to nic wspólnego z totalitarnym wychowaniem! To po prostu zaostrzenie poczucia odpowiedzialności, kształcenie uczuć gromadnych, ćwiczenia dyscypliny zbiorowej i dobrowolne wychowanie przez zabawę — system tak dobrze przez harcerstwo przemyślany i stosowany. Bardziej wyrobiony, solidniejszy pilnuje i pomaga mniej doświadczonym. Inni muszą go słuchać — i słuchają!

Na Kolonii harcerskiej w Rivenhall było łącznie około 90 dzieci. Wiek: od sześciu do szesnastu. Dziewczynki i chłopcy. Wychowawców — przeważnie harcerzy, łącznie z obsługą kuchni: — siedemnaście osób. Opieka — jak mi się wydało — wzorowa, wnikliwa, serdeczna, a rozsądnie twarda. Tak jak trzeba. W imieniu wszystkich zadowolonych rodziców składam wszystkim opiekunom serdeczne: *Bóg zapłać*!

Chciało by się jeszcze wspomnieć o wykładach historii polskiej słuchanych przez rozbrykaną młodzież z „otwartą gębą", o chłopcu Polaku tu urodzonym i chowanym w szkołach angielskich, który dopiero na kolonii nauczył się mówić po polsku, o wycieczkach nad morze i o tylu innych rzeczach, ale brak już miejsca.

Więc na zakończenie adres Domu Harcerskiego w Londynie, który dalej prowadzi pracę zapoczątkowaną na Kolonii: 45, Gloucester Rd., S.W.7. I apel do rodziców, by tej cudownej pracy udzielili swego moralnego i materialnego poparcia!

JÓZEF WŁODARKIEWICZ

POLSKIE LALKI DO NORWEGII

Zarząd Główny SPK otrzymał informacje, że pewna firma norweska jest zainteresowana w imporcie lalek i innych wyrobów o motywach polskich. Uprasza się wszystkich zainteresowanych o nadsyłanie ofert z podaniem warunków, co umożliwi SPK wszczęcie wstępnych rokowań z wspomnianą firmą. Oferty należy kierować na adres: Zarząd Główny SPK, 20, Queens Gate Terrace, London S.W.7.

Kursy wieczorowe

(p.s.) Szkolenie zawodowe w PKPR zamarło. Wiele szkół, wiele kursów, jak to już donosił swego czasu „*Nasz Znak*”, zakończyło lub zakończy w najbliższej przyszłości naukę. Istniejące kursy w PKPR nie stoją w wielu wypadkach na wysokości zadania. Żadne zaś z nich nie są dostępne dla cywilnych, czy też żołnierzy przeniesionych na listę niezatrudnionych lub do rezerwy „W”. Poza tym są to kursy przedzawodowe a nie zawodowe. Celem ich ma być jedynie danie pewnego ułatwienia w wykonywaniu obranego zawodu, w żadnym zaś wypadku przygotowanie do niego.

Powstaje więc pytanie, czy istnieje jakieś możliwe wyjście z tego ślepego zaułka, w którym wielu z nas się znalazło, wielu takich, którzy żadnego zawodu nie mają? Wojna przerwała im naukę, wojna zaabsorbowała ich czas bez reszty, nie pozostawiając im nic wolnego czasu na jakąkolwiek naukę.

Otóż pewne wyjście z tej sytuacji jest. W wielu brytyjskich uczelniach istnieją tzw. *evening classes* — kursy wieczorowe, dostępne dla wszystkich, gdyż jedyne warunki to zamiłowanie do obranego przedmiotu i wolne miejsce na kursie. Kursy takie prowadzone są przy wyższych uczelniach, przy średnich szkołach, przy szkołach technicznych itd.

Jak donosi prasa brytyjska bardzo wiele osób w tym roku postanowiło korzystać z dobrodziejstw *evening classes*. Dowodzi to chyba najlepiej ich popularności. Wśród garnących się do nauki wieczorowej znaczny odsetek stanowią ludzie posiadający już dyplomy uniwersyteckie, ludzie pracujący zawodowo a mimo to chcący swój „kontakt z nauką” utrzymać, względnie poznać nowe jej gałęzie. Nas oczywiście więcej interesują kursy zawodowe, niż ogólne.

Spójrzmy bliżej jak przedstawia się rzeczywistość. Trudno byłoby w krótkim artykule omówić całość *evening classes*, których siatka pokrywa szczelnie i dokładnie wyspy. Omówimy zatem tylko Londyn i jego najbliższe okolice.

Prawie wszystkie wyższe i średnie zakłady naukowe w Londynie prowadzą *evening classes*. Niektóre z nich, jak np. *Regent Street Polytechnic*, *Hammersmith School of Building*, *Borough Polytechnic* czy też *Northampton Polytechnic* prowadzą tych kursów bardzo wiele i różnorodnych. Niektóre zaś tylko mają parę, czy kilka kursów, często specjalizując się w pewnych kierunkach. *Evening classes*, prowadzone przez szereg miesięcy, dwa lub trzy razy tygodniowo po parę (do 2-ch) godzin, mogą dać niezłe zupełnie podstawy wiedzy w pewnych określonych zawodach. Prowadzone w języku angielskim zawsze pogłębiają wiedzę obcokrajowca w tym zakresie.

Jak już podkreśliliśmy, różnorodność kursów jest bardzo wielka. Wymienimy kilkanaście spośród nich, by dać możność czytelnikowi zorientowania się w możliwościach. A więc są np. takie jak: fotografia, rolnictwo, krawiectwo, malarstwo pokojowe, handel, języki, hodowla gołębi, teoria polityczna, mechanika, mitologia, muzyka, sztuka, sztuka stosowana, modelowanie, roboty ręczne, kapelusznictwo, galanteria, złotnictwo, tkactwo, zabawkarstwo i wiele, wiele innych.

Niewielkie opłaty (od paru szylingów do paru funtów za cały kurs) i odpowiednie godziny zajęć umożliwiają korzystanie z nich. Przy pewnym wysiłku można jednak tą drogą zdobyć także podstawę lepszej pracy. Dla ludzi zatrudnionych znaczy to oczywiście automatyczne przedłużenie godzin zajęć, ale czy nie warto? Mieszkając w Londynie łatwo można się zapisać na taki kurs, uzyskać miejsce i odpowiednio wykorzystać czas wolny. Po wielu godzinach pracy zarobkowej parę godzin spędzonych na pracy nad sobą będzie raczej przyjemnością, niż ciężarem.

Ale nie tylko Londyńczycy mogą korzystać z *evening classes*. W najbliższym sąsiedztwie Londynu i na „głuchej prowincji” istnieją tzw. *Local Education Authorities*. Zadaniem ich jest gromadzenie chętnych do nauki i organizowanie dla nich kursów. W każdym prawie mieście instytucja taka się znajduje. Znaleźć ją można w miejscowych *County Council* pod nazwą *The Director of Education* lub *the Chief Education Officer*. Dla ilustracji podajemy poniżej adresy *Local Education Authorities* w najbliższej okolicy Londynu.

Bedfordshire — The Director of Education, Shire Hall, Bedford.

Bucks — Chief Education Officer, County Offices, Aylesbury, Bucks.

Croydon — The Education Officer, Education Office, Katharine Str., Croydon.

East Ham — Chief Education Officer, Town Hall, East Ham, E.6.

Essex — The Chief Education Officer, County Offices, Chelmsford, Essex.

Kent — The Director of Education, Education Offices, Springfield, Maidstone, Kent.

Middlesex — Chief Education Officer, Middx County Council, 10, Great George Str., London S.W.1.

Surrey — The Chief Education Officer, County Hall, Kingston upon Thames.

W innych miejscowościach łatwo zawsze znaleźć adres w książce telefonicznej, lub po prostu zapytać policjanta.

List z podróży

Tuż przed południem otrzymałem list. Wielka biała koperta z nabazgranym koślawymi literami adresem, zaopatrzona w stempel z napisem Glasgow oraz w dwa duże atramentowe kleksy, była dla mnie rzeczywistą tajemnicą. Pisma nadawcy nie znałem. Zaintrygowany, otworzyłem kopertę i spojrzałem na podpis. Z koślawych liter podpisu ułożyła się „fajn” podobizna starego, serdecznego kumpla Adasia. A oto jego liścik:

Wielce drogi i kochający mnie Panie Podchorąży,

Jak Panu wiadomo, w specjalną podróż po ziemi obiecanej czyli szkockiej wysłany zostałem w celu zorientowania się o możliwościach zatrudnienia naszej emigracji, zrzeszonej pod wspólnym znakiem SPK.

Pierwszym etapem podróży mojej jest Glasgow, do którego z Bożą, jak też railway'u, czyli namiastką przedwojennego P.K.P'u (bez R of course), się dostałem. Miasto niczego sobie, narzekać nie można. Brud bo brud, ale tego i tak w pomroce szkockiej mgły zauważyć nie można, zresztą nie należy się dziwić. Ludzie ekonomiczni bardzo w kryzysie szczerze chcą Ojczyźnie pomóc i z tego też powodu w burżuazyjne pomysły się nie bawią.

Cóż za korzyść z zamiatania, kiedy i tak wiara na powrót naśmieci. Forsę, którą by zamiatacz miejski zainkasował, na lepsze cele obracają, w „krótkiej” przyszłości wybudować mają nowy stadion psich wyścigów, by jak największym rzeszom obywateli ten pożyteczny sport udostępnić. Frajerzy nadzieją na szczęście żyją, co sobotę forsę tracą, a po powrocie głodnej żonie i dzieciom o swych nadziejach i możliwościach na przyszły tydzień opowiadają. By z głodu nóżek z familią nie wyciągnąć, książeczkę z kuponami odzieżowymi napotkanemu Polakowi sprzeda i biedę przez następny tydzień popycha.

Do Glasgowa Polońscy niczym Mahometanie do Mekki i Medyny ze wszech stron ciągną. Miasto sławą największego w Szkocji się cieszące ciekawych ze wszech stron wabi. Bractwo pielgrzymki uskutecznia i spędza urlopy w Glasgowie. Stare zabytki hurmem ogląda i wrażeniami się na głos dzieli. Harmider w takich wypadkach niczym w żydowskiej bóżnicy.

Do zakątków Glasgowa cieszących się sławą wielką i popularnością wśród odwiedzających należą: N.A.A.F.I., w której „pielgrzymi” kiszki chips'em z fish'em czy też sausage'ami napełniają, zapijając te Szkotów narodowe potrawy tea'em czy też imitacją lemonade'y. Starzy bywalcy tego przybytku do tajemnic żeńskiej obsługi dopuszczeni, wiedzą, że Mary czy May dla Polaków „extra” pod bufetem kawę trzyma i wystarczy porozumiewawcze spojrzenie, by ten boski, ukochany przez Polaków, napój otrzymać.

Glasgowska N.A.A.F.I. jest instytucją doprawdy wszechstronną. Niczym warszawski dom B-ci Jabłkowskich, do którego facet głodny, w stroju prawie że Adamowym wchodził a wyjeżdżał taksówką od stóp do głów przyodziany niczym hr. Potocki, of course, jeśli z uczciwie wypchaną „kapsą” czyli kieszeniami do wnętrza się fatygował. To samo można w Glasgowskiej N.A.A.F.I. zaobserwować z tą różnicą tylko, że taki „bratek” w mundurze żołnierskim do wnętrza się tryni, a po krótszym czy dłuższym okresie czasu w cywilaku, z pakunem w ręce tę cudowną instytucję opuszcza. Auta kupić nie można, ale w rower z łatwością zaopatrzyć się jest każdy w stanie. Z „bazaru” tego dużo lepiej usytuowanych korzysta, szczególnie, gdy poprzez repatriacyjne camp'y wybiera się do Kraju.

Drugim także sławnym miejscem jest, jak go tu zowią „Capstan Bridge”. Nazwa ta pachnąca aromatycznym dymem najlepszych podobno wyrobów tytoniowych, przynajmniej w pojęciu Angolów, utarła się z tej przyczyny, że wytwórnia papierosów tych kupiła prawo powieszenia reklamy na tym osławionym moście kolejowym. A mostek ten sławny jest faktycznie. Zdarzy się czasem, że ktoś z nowo-przybyłych, pragnący „pięknych” widoków Glasgowa zabłądzi w tej zaśmieconej mieścinie (półtora miliona mieszkańców sobie liczącej) i w płacz. — Co ja teraz pocznę? — pyta pierwszego napotkanego bobby'a, który w takich wypadkach zna tylko jedno lekarstwo. Odprowadza faceta do pierwszego przystanku tram-car'owego i wsadza nieszczęśliwą zgubę do środka, upoważniając conductor'a, by raczył go łaskawie z tramwaju wyeksmitować „pod mostem”. Tam już nieszczęśliwiec z łatwością znajdzie rodaków, którzy go serdecznie przyjmą, poinformują, skierują we właściwym kierunku, a bardzo często w butelkę nabiją, pozbawiając biedaka pieniędzy za pomocą „świetnego interesu”, o której to faktycznej świetności delikwent przekonuje się dopiero, gdy mu braknie płynnej gotowizny na powrót do domu.

Ma też ten Glasgow, pomimo że nie jest tak piękny i kochany jak nasza Stara Warszawa, wiele innych „miłych” zakątków. Brak jednak papieru w Wielkiej Brytanii ostatnio daje się odczuwać bardzo i czarną niewdzięcznością względem Brytyjczyków byłoby, gdybym przez pisanie długich listów walkę z kryzysem im utrudniał. A wdzięczność im się należy choćby za ten żołdzik, który już przez parę okrągłych latek biorę. Przy sposobności po moim powrocie, gdy Pan, P. Podch. na bezsenność cierpiał będziesz, wpadnij Pan do mnie na cup of tea, to o tych niektórych ciekawostkach pogadamy.

So long P. Podch.! Serdeczne pozdrowienia dla szefa kompanu czyli zawalidrogi i uprzykrzyciela rodzaju ludzkiego. So long!

Pozostaję z powinszowaniem

Adam Adamowicz, bomb.

Fiu! Fiu! Widziane rzeczy, Adaś noce na świeżym powietrzu czyli pod mostem spędza. Oj, pogadamy my w cztery oczy, pogadamy. Byleś tylko kochasiu zdrów i cały z drogi wrócił.

PODCH. FAJTŁAPA

KOMUNIKATY

BIURA INFORMACJI I PORAD SPK
20, Queen's Gate Terrace, London S.W.7.
Oddział w Edynburgu:
13, Glencairn Crescent, Edinburgh.

KIEROWANA PRACA W W. BRYTANII

Kryzys gospodarczy w W. Brytanii stał się tematem naczelnym prasy brytyjskiej. Polacy mieszkający na tej wyspie nie mogą przechodzić obojętnie obok tak istotnych zagadnień kraju ich obecnego pobytu. Zwłaszcza, że niektóre fragmenty tego zagadnienia są bardzo ważne dla życia polskiego w W. Brytanii. Na czoło wybija się tutaj sprawa zatrudnienia, braku rąk roboczych w niektórych przemysłach, przewidziany przymus pracy, który wchodzi w życie z dniem 1 października.

Sądzimy, że kilka cyfr podstawowych może się tu przydać. Ludność W. Brytanii wynosi 48.016.000 i dzieli się na 22.493.000 mężczyzn i 25.523.000 kobiet. Po odrzuceniu osób w wieku ponad lat 65 oraz dzieci i młodzieży szkolnej pozostaje ludność produkcyjna w wysokości 31.762.000 z czego 14.410.000 mężczyzn i 17.352.000 kobiet.

Cyfry Ministerstwa Pracy z maja br. podają ilość zatrudnionych na 20.170.000. Jeżeli zestawimy cyfrę tę z poprzednimi to stwierdzimy lukę w wysokości 11.592.000. Z cyfry tej około 10 milionów stanowią gospodynie domu. Pozostaje ilość 1.592.000 osób, które nie są ujęte w żadnej kategorii. Część z nich stanowią ludzie unikający wyraźnego zatrudnienia. .

Zatrudnieni dzielą się w sposób następujący:

Grupa produkująca	
Art. spożycia krajowego	5.548.000
„ eksportowe	1.489.000
Rolnictwa i rybołóstwa	1.078.000
Kopalnie i kamieniołomy	828.000
Przemysł budowlany	1.290.000
Razem	10.233.000
Grupa nie-produkująca	
Transport i żegluga	1.387.000
Gazownie, elektrownie itd.	261.000
Urzędnicy państwowi	1.011.000
„ samorządowi	1.047.000
Siły Zbrojne	1.327.000
Policja, Straż Ogniowa	90.000
Sklepy, rozprowadzenie towaru	2.318.000
Handel, finanse, rozrywki i wyżywienie	2.041.000
Byli żołnierze, niezatrudnieni	145.000
Bezrobotni	310.000
Razem	9.937.000

Stosunek ludności produkcyjnej do pozostałej jest niekorzystny. Tendencje do dokonania istotnych pod tym względem przesunięć i zastosowania nawet (na podstawie pełnomocnictw rządowych) przymusu są uzasadnione. Jasne jest, że ludzie dotychczas niezatrudnieni, a więc i Polacy znajdujący się jeszcze w PKPR, będą kierowani przede wszystkim do tych działów produkcji, kóre wymagają zasilenia siłą roboczą.

Uchwalone ostatnio pełnomocnictwa rządowe znajdą swój wyraz niewątpliwie również w ustosunkowaniu się władz brytyjskich do problematu zatrudnienia Polaków. Dążenie do szybkiego rozładowania PKPR, które występowało już od kilku miesięcy, miało jako główny motyw względy finansowe i administracyjne, wreszcie termin, do którego PKPR ma w ogóle istnieć. Względy na potrzeby zatrudnienia grały oczywiście również poważną rolę, moment ten jednak będzie teraz dominujący. Z chwilą, gdy sytuacja uznana została za dostatecznie poważną, ażeby zastosować przymus pracy do własnych obywateli, Polacy nie mogą się spodziewać, ażeby byli traktowani z większymi względami. Starajmy się jak najszybciej w ramach istniejących możliwości ustalić swe własne zainteresowania i poczynić kroki, ażeby zatrudnienie, którego rozpoczęcie jest i tak w najbliższym czasie nieuniknione, poszło jak najbardziej po linii zainteresowań każdego z nas.

Rekrutacja DP w Niemczech

do stałej pracy i osiedlenia się w Belgii

Podajemy poniżej treść prospektu rozdawanego przez komendy obozów D.P. w Niemczech między kandydatami na wyjazd do Belgii.

1. Rząd belg. potrzebuje robotników do pracy w kopalniach węgla i wobec tego gotów jest dać możność pewnej liczbie osób wysiedlonych zgłoszenia się do pracy w kopalniach belgijskich.

2. Belgia dąży do jak najdalej idącego zwiększenia wydobycia węgla ponieważ jest to podstawą całego jej życia ekonomicznego. W związku z tym rząd poprawił warunki pracy w kopalniach węgla do tego stopnia, że górnicy w Belgii są dzisiaj lepiej płatni niż osoby zatrudnione w innych przemysłach.

3. Możliwość pracy w kopalniach węgla w Belgii stoi otworem dla każdej osoby wysiedlonej wraz z rodziną która nie ma zamiaru powrócić do swej ojczyzny, naturalnie z wyjątkiem tych, którzy współpracowali z Niemcami lub którzy nie odpowiadają pewnym określonym warunkom. Osoby wysiedlone wraz z rodzinami, które zgłoszą się do pracy w kopalniach węgla i godzą się podpisać kontrakt na dwa lata, będą miały również możność osiedlenia się na stałe w Belgii. Ponadto rząd belg. gotów będzie w odpowiednim czasie rozpatrzyć podania tych osób o przyznanie im obywatelstwa belgijskiego.

4. Ogólne warunki pracy są następujące:

A) WARUNKI PRACY I STAWKI PŁAC.

I) przede wszystkim należy podpisać dwuletni kontrakt pracy w kopalniach węgla. Kontrakt ten jest taki sam dla wszystkich kopalń w Belgii i po upływie dwóch lat może być odnowiony na nieograniczony okres czasu. Ogólny status i prawa ochotników jeśli chodzi o wysokość płac i warunki pracy są identyczne z uprawnieniami robotników belgijskich i zagwarantowane przez rząd belgijski.

II) najmniejszy dzienny zarobek niewykwalifikowanego robotnika wynosi 140 frs., a przeciętny zarobek dzienny robotnika wykwalifikowanego wynosi 250 frs.

III) koszty utrzymania jednej osoby wynoszą obecnie od 40 do 60 franków dziennie wliczając koszty mieszkania, wyżywienia i inne bieżące wydatki.

IV) ochotnicy będą również automatycznie korzystać z innych dodatkowych uprawnień (jak np. specjalne płatne urlopy, dodatkowe racje węgla, pensje emerytalne itp.), które przysługują obecnie robotnikom belgijskim lub będą im przysługiwać w przyszłości.

B) OCHRONA SPOŁECZNA.

I) każdy robotnik może być członkiem Związku Zawodowego jaki sam wybierze. Według nowych ustaw robotnicy korzystają ze specjalnej opieki w razie choroby, obrażeń cielesnych lub bezrobocia, oraz w razie czasowej lub stałej niezdolności do pracy spowodowanej wypadkiem. Górnikom przysługuje również specjalna pensja emerytalna w wieku lat 55.

C) OGÓLNE WARUNKI ŻYCIA.

I) pracodawcy są odpowiedzialni za opiekę nad ochotnikami od chwili przyjazdu ich na granicę belgijską. Zajmą się oni znalezieniem mieszkań i wyżywienia jak również przygotowaniem ochotników do nowej pracy. System ten jest najwygodniejszy dla ochotników w pierwszym okresie, jednak ochotnicy będą mogli sami znaleźć sobie mieszkanie, kupować i przygotowywać sobie pożywienie, jeśli sobie tego życzą. Z pomocą finansową rządu towarzystwa węglowe budują nowe domy dla robotników i w ogólności czynione są wszelkie starania, aby zapewnić ochotnikom i ich rodzinom jak najlepsze warunki życia.

II) artykuły żywnościowe sprzedawane są po normalnych cenach i nie są racjonowane (wydawane na kartki) z wyjątkiem chleba, masła, mięsa i cukru. Jednakże górnicy otrzymują na swoje kartki trzy razy więcej artykułów racjonowanych niż inni robotnicy przemysłowi. Inne artykuły jak np. ubrania, buty, papierosy itp. również nie są racjonowane i kupuje się je w wolnym handlu za normalne ceny.

III) Belgia zawsze zatrudniała dużą ilość cudzoziemców, i zwłaszcza jeśli chodzi o kopalnie, ochotnicy znajdą w nich wielu swoich rodaków, którzy będą mogli im pomóc.

D) PRZYJAZD RODZIN OCHOTNIKÓW DO BELGII.

I) w okresie pierwszych trzech miesięcy po przyjeździe do Belgii, ochotnicy mają prawo w każdej chwili zażądać powrotu do zony brytyjskiej. W razie gdy ochotnik chce pozostać w Belgii po tym okresie, rodzina jego będzie mogła doń przyjechać. Przez rodzinę rozumie się osoby będące na utrzymaniu ochotnika, co do których Komisja Belgijska wyraziła zgodę w momencie zaangażowania ochotnika do pracy. Automatycznie przyjmuje się żonę i dzieci niepełnoletnie ochotnika, jednakże i inne osoby będą brane pod uwagę w miarę możności.

E) STATUS I UPRAWNIENIA OCHOTNIKÓW ZAGWARANTOWANE PRZEZ RZĄD BELGIJSKI.

I) Belgia uznaje status ochotników jako osób wysiedlonych (D. P.) oraz przyznaje im te same prawa i przywileje jakie przysługują innym cudzoziemcom zamieszkałym na stałe w Belgii. W przygotowaniu jest nowa ustawa, która da specjalne korzyści cudzoziemcom, pracującym w kopalniach węgla przez pięć lat. Okres zamieszkania w Belgii potrzebny dla otrzymania obywatelstwa belgijskiego będzie skrócony do lat pięciu (zamiast 10) oraz zniesione będą obecnie obowiązujące opłaty.

II) do czasu otrzymania obywatelstwa belg. ochotnicy znajdować się będą pod opieką Międzyrządowego Komitetu dla Uchodźców.

III) osoba która podczas pierwszych dwóch lat swego pobytu w Belgii zerwie bez ważnego powodu swój kontrakt pracy, lub której działalność propagandowa lub zachowanie się sprzeciwiać się będzie bezpieczeństwu Państwa — może być odesłana do brytyjskiej zony okupacyjnej w Niemczech. W takim wypadku osoba ta nie może być odesłana gdzieindziej jak tylko do brytyjskiej zony okupacyjnej w Niemczech; Międzyrządowy Komitet dla Uchodźców będzie przytem zawiadomiony o każdym takim wypadku, a to w celu sprawowania należytej opieki nad interesami danej osoby.

IV) rząd belgijski nie będzie się sprzeciwiał jeśli ochotnik wyrazi w jakimkolwiek czasie chęć powrotu do kraju lub dalszej emigracji, po upływie kontraktu.

Francuski Medal za Wojnę

(s.p.) Podajemy poniżej komunikat **Federation Nationale des Combattants Volontaires** o przyznaniu francuskiego medalu za wojnę (**La Médaille Commemorative de la Guerre 1939/45**) wszystkim polskim żołnierzom, marynarzom i lotnikom, którzy służyli w Polskich Siłach Zbrojnych na terenie Francji i pod dowództwem francuskim.

Komunikat brzmi:

„**La Médaille Commemorative de la Guerre 1939/45** ustanowiony dekretem No. 161217 z dnia 21.5.1946 może być noszony przez wszystkich żołnierzy, marynarzy i lotników polskich, którzy służyli w jednostkach pod dowództwem francuskim lub podporządkowanym rządowi francuskiemu, będącemu w stanie wojny z narodami Osi.

Jednakże, jako obcokrajowcy winni oni uzyskać zezwolenie na noszenie Medalu. Na skutek decyzji Rady Ministrów, Polska Wojskowa Misja Likwidacyjna we Francji, czynna w Fouilleuse - Suresnes (Seine), upoważniona została do przyjmowania i załatwiania podań.

Jest to więc instytucja, na adres której wysyłać należy podania, zaznaczając wyraźnie nazwisko i imię, datę urodzenia i stopień. Załączyć również należy międzynarodowy kupon pocztowy na odpowiedź.

Dokument nadania przesłany zostanie bez żadnych opóźnień”.

Ze swej strony wyjaśniamy, że nie jest to równoznaczne z przyjęciem do Stowarzyszenia Kombatantów Francuskich. Osoby, chcące należeć do tego Stowarzyszenia (**Association des Combattants Volontaires**) winny zwrócić się listownie na adres: 9, rue de Mazagran, Paris Xe, podając krótko przebieg służby wojskowej we Francji i załączając międzynarodowy kupon pocztowy za 6 d. W odpowiedzi otrzymają osobne formularze do wypełnienia i dopiero po ich odesłaniu do Francji zostaną przyjęte.

W sprawach francuskiego Medalu za wojnę, o którym mowa w powyżej przytoczonym komunikacie można również zwracać się do Sekcji Polskiej Stowarzyszenia Kombatantów francuskich na następujący adres:

Federation Nationale des Combattants Volontaires, Section Polonaise, 37, Avenue Jean Jaures, Suresnes, (Seine), France.

Redaguje Wydział Prasowy Stowarzyszenia Polskich Kombatantów — 20, Queen's Gate Terrace, London, S.W.7 — tel. WEStern 0747.

Nie święci garnki lepią...*)

(Reportaż własny „Polski Walczącej")

SAMOCHODZIARZE KSZTAŁCĄ SIĘ PILNIE

Na kursie ślusarsko - samochodowym jest 16-tu nowych uczniów i 10-ciu praktykantów, którzy kurs poprzednio ukończyli i obecnie zajęci są w garażu. Porucznik broni pancernej Jan Polak prowadzi ten kurs, który wraz z kursem wstępnym trwa ogółem 12 miesięcy i absolwentom daje oprócz polskich również brytyjskie świadectwa na tzw. „*fitter-ów*" 2. lub 3. klasy, które uprawniają do napraw 4-tego stopnia R.E.M.E. w brytyjskich „*workshop'ach*". Warsztat jest dobrze wyposażony w 6 stanowisk silników, a kurs rozplanowany na 2 okresy, obejmujące równocześnie teorię i praktykę.

Pomimo pewnych zrozumiałych w tym dziale ograniczeń w rodzaju i stopniu inwalidztwa — kurs ukończył z wyróżnieniem jeden z upartych inwalidów z protezą nożną i udowodnił, że świetnie włazi pod wszystkie wozy i wykonuje całą trudną pracę warsztatową.

Na kursie widać duże życie i dobry nastrój. I ten kurs ma swego ulubieńca, a jest nim młody marynarz, Józef D., który wywieziony na roboty do Niemiec uciekł i został marynarzem na polskim statku „Batory" i odbył z nim wiele rejsów. Ubytek parucentymetrowy czaszki, uszkodzonej odłamkiem bomby niemieckiej która wybuchła na pokładzie, uzupełniony płytką angielskiej platyny, nie odebrał temu chłopakowi, który przed wojną był w 3 klasie gimnazjum, ani wesołości i radości życia, ani też dużego powodzenia u Angielek, jak zapewniają z odrobiną zazdrości jego koledzy, męcząc się właśnie wspólnie nad znalezieniem jakiegoś niedomagania w silniku. Gdy ten szkolny błąd znajdą i naprawią, męczyć się będą nad następnymi. Po roku opanują wszystkie i zostaną „*fitterami*". Najbliższymi towarzyszami pracy marynarza są lwowiacy, strz. Franciszek Wojtus, ślusarz sprzed wojny, który został inwalidą w Brygadzie Spadochronowej, skacząc w Holandii i 36-letni Kazimierz Miga z 7-go Pułku Pancernego, któremu całą rodzinę wymordowali Ukraińcy pod Lwowem w okrutny sposób.

KONKURENCI ZEGARMISTRZÓW SZWAJCARSKICH

Być może, że w kranie zegarków, w Szwajcarii są większe i lepiej zaopatrzone szkoły i kursy zegarmistrzowskie, ale przyznać trzeba, że tutejszy, zorganizowany dla kształcenia inwalidów, robi nie tylko dobre i solidne wrażenie, ale jest również bardzo interesujący. Mieści się nie jak inne w baraku, przypominającym halę fabryczną, ale w stosunkowo niewielkim pokoju, bardziej przytulnym. 15 stolików, ustawionych wzdłuż ściany, z płytami szklanymi, imadełkami, specjalnymi lampami do pracy (wszystko wyrobu własnego innych warsztatów ośrodka) posiada również całe niezbędne wyposażenie narzędziowe. Jako instruktorzy i wykładowcy funkcjonują fachowcy przedwojenni, sierż. Z. z Warszawy i sierż. K., zegarmistrz zawodowy ze Stanisławowa, mając do pomocy młodszego fachowca, który kończył kurs w czasie wojny w Edynburgu. Kurs trwa 32 tygodnie dla tych, którzy przeszli poprzednio warsztat mechaniczny. Należało by zanotować, że na 14-tu uczniów obecnie jest dwu kawalerów „Virtuti Militari" i dwu oficerów.

Kapitan G.A., absolwent filozofii, który przed wojną pracował w innym nieco dziale, bo w kuratorium lwowskim, wydostał się szczęśliwie z Rosji i szedł z 1-szym baonem 3 D.S.K. od początku, by za działania nad rzeką Chienti otrzymać „Virtuti Militari". W bitwie pod Faenzą stracił nogę, niestety powyżej kolana. Nie przeszkadza to jednak ani w nowym jego fachu i w pracy, ani tym bardziej w nastroju i humorze. Tuż obok niego siedzi przy stoliku z lupą zegarmistrzowską w oku inny oficer — kapitan ze znanego nowosądeckiego pułku podhalańskiego z pochodzenia poznaniak, z przekonań i upodobań góral i gazda z Podhala, na którym spędził długie lata swej służby wojskowej.

O SIERŻANCIE DŁ. SKRÓCONYM PRZEZ ANGLIKÓW

Największą atrakcją i ulubieńcem kursu jest sierżant R. Dł. urodzony na Śląsku 1918 roku. Gdy witając się ze mną wstaje ze swego stołka, widzę, że ma dwie protezy i jest olbrzymiego wzrostu. — „Przed wojną — opowiada mi — miałem 199 cm. wzrostu i byłem najwyższym żołnierzem, maszerującym w pierwszej czwórce, w zamkowej kompanii przybocznej Prezydenta. Stamtąd przeszedłem później do policji państwowej. W bitwie pod Bredą w Holandii, w szwadronie, dawniej dowodzonym przez kapitana Kl. (1-szego kierownika ośrodka szkolenia Zawodowego Inwalidów) straciłem obie nogi jako dowódca czołgu. Właściwie odleciały mi same. Anglicy uratowali mnie, ale skrócili o 5 cm.: zrobili mi niższe protezy, bym łatwiej mógł chodzić".

Sierż. Dł. nie wygląda na zmartwionego, ani z powodu utraty obu nóg ani też 5-ciu cm. ze swego wspaniałego wzrostu olbrzyma. Jest wdzięczny swemu byłemu dowódcy kpt. Kl., który również stracił nogę, że odnalazł go po wojnie w domu wypoczynkowym i wciągnąwszy na kurs dał fach w rękę.

Zegarmistrzostwo w Anglii to dobrze płatny i poszukiwany „*job*", toteż wydaje się, że ci, którzy kurs ukończą, łatwo będą mogli otrzymać tu pracę. Egzamin zdają kursanci również przed brytyjską komisją i otrzymują świadectwa R.E.M.E.

PRZYSZLI FOTOGRAFOWIE

Bratni kurs fotograficzny ma również 15-tu uczniów, w tym 4-ch oficerów, i obejmuje roczny program. Jest to już 3-ci kurs z kolei, poprzednie były nieco krótsze. Kierownikiem kursu jest fachowiec ppor. Biel., który poprzednio kierował tą pracą w Szkocji.

Wykładowcami są tu specjaliści w tym dziale. Kurs obejmuje całokształt fotografii i w 1680 godzinach wykładów i zajęć praktycznych przeprowadza swoich uczniów przez studio, ciemnię, laboratorium, wycieczki w teren, do wykończania zdjęć. W czasie kursu muszą opanować w zupełności: portret fotograficzny, kolorowanie, retuszowanie i prace foto-reporterskie. Ukończenie kursu daje opanowanie 3-ch zasadniczych i podstawowych działów: operatora studiowego, foto - reportera i laboranta. Podobnie jak w innych działach uczniowie otrzymują i tu na podstawie swej całorocznej pracy i egzaminu przed komisją brytyjską dyplom polski i świadectwo angielskie wystawione na odmianę przez specjalistów R.A.F.-u. W czasie zwiedzania kursu trwały zajęcia w ciemni, które pozwoliły mi na rozmowę tylko z częścią uczniów, zajętych przy retuszowaniu i wykończaniu portretów. Z wyjątkiem jednego oficera — wszyscy kursanci to inwalidzi, z tych kilku wysoko procentowych.

Por. Władysław M. z 1 Pancernej oberwał mocno zaraz po desancie we Francji od kuli strzelca wyborowego, w chwili gdy wyjrzał ze swego czołgu. Penicylina utrzymała go przy życiu, a ręka świetnego chirurga polskiego Dr. D. zasklepiła pokaźny otwór w czaszce przeszczepem kostnym z nogi. Por. Tadeusz R. zawdzięcza ocalenie nogi innemu fachowcowi chirurgii urazowej płk. Dr. S. Zszyta i podrutowana noga pozwala mu chodzić bez laski podobnie jak i por. W., rannemu w 1940 roku we Francji.

Najmłodszym fotografem jest 21 letni strz. Andrzej Bujak, który ukończył 2 klasy gimnazjum we Włoszech, gdzie ranny był pod Monte Fortino, a niewiele starszy, 22-letni st. strz. Wr. z Rybnika ranny został nad Mozą w 2-gim pułku pancernym.

KREŚLARZE MUSZĄ ZNAĆ MATEMATYKĘ

Do czystej roboty, po której nie trzeba się myć, jak w warsztatach, należy również kurs kreślarski, na który przyjmowani są zasadniczo kandydaci po 4-tej klasie gimnazjum lub minimum po 7-miu klasach szkoły ogólnokształcącej. Przed przyjęciem na kurs ten, trwający 9 miesięcy, wymagane jest ukończenie ogólnego kursu metalowego wraz z praktyką warsztatową. Całość trwa więc rok i po złożeniu egzaminu brytyjskiego daje uprawnienia i tytuł kreślarza 2-giej klasy czyli „*draughtsman-a*".

Absolwenci kursu przyjmowani są do biur instruktorskich i zakładów przemysłowych jako rysownicy. Gdy w towarzystwie kierownika kursu i instruktora ppor. Romana Zembrzuskiego zwiedzałem kurs, stał właśnie przed tablicą młody żołnierz, usiłując obliczyć powierzchnię kuli wydrążonej. Delikwent, przed wojną uczeń szkoły rzemieślniczej w Łodzi strzel. Jan Kiełtyka, któremu nie tylko nic pomóc nie mogłem w rozwiązaniu trudnego zadania geometrycznego, ale przeciwnie przeszkodziłem moimi pytaniami — cudem wyratował się z ciężkiej afery konspiracji i obozu koncentracyjnego, przypłacając to jednak chorobą płuc i 70 procentami inwalidztwa. Stan zdrowia poprawia się, a postępy w nauce rokują dobre ukończenie kursu.

Poznaję i resztę uczniów, jest ich tylko 4-ch i jeden praktykant. Ppor. Józef K., absolwent gimnazjum z Białegostoku, ranny w rękę, z pozostałym niedowładem daje sobie nieźle radę, podobnie jak i plut. P., który stracił prawą nogę w 1944 roku pod Chambois i 21 letni strz. Muchowski Zbigniew z A.K., ranny ciężko w Powstaniu Warszawskim.

Rysunki techniczne, wykonane przez uczniów jak i wzory pisma technicznego stoją na poziomie, którego nie powstydziłaby się żadna szkoła techniczna. Kurs obliczony jest maksymalnie na 10-ciu uczniów, ale warunki i wymagania stawiane kandydatom sprawiają pewne trudności.

POLSKIE MEBLE „UTILITY"

Anglia słynąca ongiś z pięknych mebli wyrabia dziś jedynie użytkowe urządzenia wnętrz tzw. „*utility*". Meble które są działem majstrów i uczniów w stolarni inwalidzkiej Ośrodka na pewno nie są gorsze od angielskich. Kurs w stolarni trwa rok a absolwenci otrzymują również podwójne dyplomy, polski i brytyjski i są poszukiwani na tutejszym rynku pracy.

Majster stolarski strzel. St., miał przed wojną w Polsce swój własny warsztat. Przeszedł przez niemieckie obozy koncentracyjne, skąd zwolniły go w 1944 roku wojska alianckie. Instruktorem jest również przedwojenny stolarz kpr. B., który miał swój warsztat w historycznym Stoczku. Najmłodszym uczniem jest syn emigranckiej rodziny z Francji, która zginęła w czasie wojny, plut. Józef Nowak ranny ciężko w bitwie pod Arnhem.

W SPAWALNI, U KRAWCÓW I SZEWCÓW

Niewiele pozostało czasu na zwiedzenie reszty kursów. W spawalni, której kierownikiem i instruktorem jest strz. Sudoł, kawaler „Virtuti Militari", ranny w kompanii ochrony sztabu nad Senią w bitwie o Bolonię — usłyszałem skargi na zastój w pracy z powodu braku acetylenu, którego dostarczają władze wojskowe. Radzą więc sobie jak mogą instruktorzy i uczniowie, mając zresztą dobre wyniki.

Warsztat szewski czeka na nowych uczniów, a ostatnio ukończyło go 38-miu, z tego 13-tu z bardzo dobrym postępem. Założycielem tego kursu był por. saperów Michał N., inwalida bez nogi, który, podobnie jak i kilku innych, wrócił do rodziny swej w Kraju. Zastępuje go w obecnej chwili kapr. Władysław W., który przed wojną miał swój własny warsztat w Kielcach a potem w Krakowie, a inwalidą został w Brygadzie Spadochronowej.

Najlepszym uczniem zakończonego kursu był sierż. S. ciężko ranny w głowę pod Ankoną.

Warsztat krawiecki ma 20-tu uczniów, w tym 1-go oficera, z ciężko uszkodzoną nogą w Powstaniu Warszawskim. Kurs bez nauki kroju, który stanowi odrębny dział, trwa rok; obecny kurs, który zaczął się w kwietniu, obejmuje 2 razy tygodniowo wykłady i codzienne zajęcia praktyczne. Kierownikiem kursu jest mistrz krawiecki z Brześcia n/Bugiem Jan M., kapral 2 Korpusu, który przeszedł przez Rosję i Środkowy Wschód. Najstarszym uczniem jest 50-letni st. sierż. Wonsowski, wywieziony do Rosji z całą rodziną, obecnie przebywającą w Indiach. Najmłodszym — zaledwie 20-letni st. bomb. Zbigniew Kalenczuk, który również wywieziony do Rosji stracił nogę w 3 PAL-u w walkach nad Senią i odznaczony jest Krzyżem Walecznych.

Większość kursantów podobnie jak i na szewskim kursie, wojskową służbę pełniło w 2 Korpusie.

INWALIDZI ROBIĄ KILIMY

Kursem ostatnio powstałym w Ośrodku jest kurs kilimkarski, który zdobył już własny warsztat sporządzony staraniem innych warsztatów. Przy krosnach układa piękny wzorzysty kilim kpt. Edward M., z 5 Dyw. Kresowej, oficer zawodowy i kawaler „Virtuti Militari", który we włoskiej kampanii stracił prawą nogę, powyżej kolana. Kapitan i dwóch innych uczniów uważa ten nowy „*job*" za wcale interesujący.

DZIEŁO ZAPAŁU I WSPÓŁPRACY

„Ośrodek Szkolenia Zawodowego Inwalidów" jest dziełem polskich rąk i powstał z polskich funduszów. Organizatorem tej tak ważnej placówki jest wspólnie z obecnym kierownikiem kpt. Jan Kl., inwalida bez nogi, którą stracił pod Falaise, chłop z wiary, jak wspominają go wszyscy. Oni to potrafili pracą swoją i podejściem do zagadnienia i ludzi, którym zdawało się, że wszystko dla nich stracone, stworzyć tę placówkę uczciwej pracy i przełamać wszystkie uprzedzenia i złe nastroje. Inwalidzi, którzy początkowo uważali nowo powstającą placówkę za „nową lipę", przekonali się wkrótce, że tak nie jest, i zarażeni zapałem kierowników, instruktorów i wykładowców sami stali się gorliwymi pionierami nowo powstałego ośrodka, który rósł coraz bardziej. Przygotowano warsztaty i już w ciągu tygodnia rozpoczęto pierwsze wykłady. Przypominają to obecnie starzy kursanci — jak to oficer saperów, inwalida bez nogi, stawiał coraz to nowe beczki na hale maszynowe i nowe kursy, organizując równocześnie kurs szewski; jak inwalida bez nogi, podpierany przez drugiego stawiał komin na kuźni. Posiadane fundusze pozwoliły na wzorowe niemal wyposażenie warsztatów we wszystkie konieczne i potrzebne narzędzia.

Wzajemna pomoc kursów jest podstawą współpracy ośrodka. Kreślarze dostarczają projektów i rysunków, otrzymują w zamian swoje stoły rysunkowe ze stolarni szkolnej; ślusarze wykonują narzędzia dla krawców, szewców i innych zawodów, zegarmistrze naprawiają precyzyjne aparaty fotograficzne, za co ci rewanżują się wspaniałym reportażem fotograficznym z prac ośrodka. Warsztat kilimkarski, choć może trochę nienowoczesny, wykonany został w całości w szkole.

PRZEŁAMANE ZŁE NASTROJE

Poza wynikami widocznymi dla wszystkich, najważniejszy jest duch szkoły, to przestawienie nastrojów inwalidów, którzy z niedowiarków, pełnych podejrzeń, z ludzi „bez przyszłości", ludzi opuszczonych i zgorzkniałych stali się entuzjastami, uczą się chętnie i pilnie nie tylko w czasach godzin zajęć i wykładów, ale sami wieczorem, gdy nikt ich do tego nie zmusza; byle osiągnąć lepsze wyniki i nie dać się zdystansować zdrowym czy mniej poszkodowanym. Sukcesy ośrodka szkolnego odzwierciedliły się nie tylko w wynikach poszczególnych kursów, w dyplomach polskich i brytyjskich, ale również w zorganizowanej na wiosnę br. wystawie — dumie szkoły, o której chętnie opowiadają uczniowie i instruktorzy.

Zachwycali się nią goście polscy i brytyjscy, podziwiając dzieła młodych przeszkolonych inwalidów jak np. małą tokarkę do metali lub istne cacko — aparat radiowy w pięknej skrzynce, dalej arcydzieła polskiego kunsztu szewskiego — pantofelki damskie z wężowej skóry, piękne meble i aparaty, sprzęt stolarski, roboty krawców, no i studia portretowe, śmiało równające się zdjęciom londyńskiego Van-Dyke'a. Sami wierzyć nie chcieli słuchając opinii Brytyjczyków, porównujących tę skromną wystawę z szeroko reklamowaną londyńską „*Britain can make it*", że to oni są twórcami tych wszystkich eksponatów, oni, którzy niedawno nie mieli nieraz pojęcia o żadnym rzemiośle, a równocześnie mieli jeszcze trudniejsze zadanie do spełnienia: przełamanie własnej apatii i depresji, tych nieodstępnych towarzyszek każdego początkującego inwalidy, który zapomnieć musi nieraz o przyjemnościach i uciechach przeszłości. Dziś życie odzyskało dla nich swe wartości i uroki, których istotą i warunkiem jest możliwość pracy i sama praca.

STEFAN BENEDYKT

*) Por. pierwszy reportaż z inwalidzkiego ośrodka szkolenia zawodowego w Llanarch Panna Camp: „Na uniwersytecie inwalidów" (nr. 37).

Kiedy wlazłeś między wrony...

„Help yourself"

Z kolei pragnąłbym ci, drogi A., podać w opłatku zaimek nieokreślony „*one*", któremu po polsku odpowiada, mniej więcej, zaimek zwrotny „się" w połączeniu z użytą bezzaimkowo trzecią osobą liczby pojedynczej. „*One does not see one's own faults*" (Nie widzi się swych własnych błędów).

Można to „*one*", które dotyczy osoby (lub rzeczy) nieokreślonej, przetłumaczyć także za pomocą np. naszego „człowiek". Wellington, zwycięzca Napoleona, mawiał: „*When one begins to turn in bed, it is time to turn out*" (Gdy człowiek zacznie się kręcić w łóżku, jest to czas żeby wstać).

„*One can*" (można), „*one must*" (musi się, trzeba), „*one must not*" (nie wolno), „*one does*" (robi się). „*One cannot deny that a wife is a great consolation to a man in all the troubles a bachelor never has*" (Nie można zaprzeczyć, że żona jest dla męża wielką pociechą w tych kłopotach, których nigdy nie ma kawaler).

„*Help yourself*" (niech się pan sam obsłuży). Po polsku mówisz: „zabiłem się, zabiłeś się, zabił,a,o, się, zabiliśmy się, zabiliście się, zabili się", po angielsku zaimek zwrotny zmienia się w każdym z tych przykładów: „*I killed myself, you killed yourself, he killed himself, she killed herself, it killed itself, we killed ourselves, you killed yourselves, they killed themselves*". ...

Niekiedy Anglik wpada w przesadę i używa zaimka zwrotnego tam, gdzie jest on najzupełniej zbyteczny. Niejaki A. Gowans Whyte w książeczce pt. „*Anthology of Erros*" (Antologia pomyłek) przytacza zdanie z dziennika „*Evening News*": „*Miss Florence Hornsbrugh, M.P., ... cooks and queues herself*" (Panna Florencja Hornsbrugh, członek Izby Gmin, ... gotuje i stoi w ogonku sama). Ktoś może sam gotować ale nikt nie może „sam" stać w ogonku.

„*The frequency with which pronouns such as „myself", „himself", etc., are wrongly placed indicates that the error has become a habit of which the delinquents are unconscious*" (Częstotliwość z jaką zaimki jak „*myself*", *himself*" etc., są mylnie stawiane, wskazuje, że pomyłka stała się przyzwyczajeniem, z którego winowajcy nie zdają sobie sprawy).

Trafnie użyty zaimek „*yourself*" występuje w następującej wymianie:

Uczeń telegrafuje do starszego brata: „*Have failed in exam. Prepare father*".

Brat odpowiada depeszą: „*Father prepared; prepare yourself*". (Oblałem się. Przygotuj ojca. — Ojciec przygotowany; ty się przygotuj).

„*The gentleman, then, is the man who is master of himself, who respects himself and makes others respect himself ... In order to lay himself open to no reproach, a gentleman will keep himself irreproachable; in order to be treated with consideration, he will always be careful himself to observe distances, to apportion respect, and to observe all the gradations of conventional politeness, according to rank, age, and situation*". (Dżentelmen więc jest to człowiek, który jest panem samego siebie, który szanuje się i sprawia, że inni go szanują ... Aby nie wystawiać się na żaden zarzut, dżentelmen będzie zachowywał się bez zarzutu; aby być traktowanym z szacunkiem, zawsze będzie sam pilnował starannie dystansu, będzie stosował szacunek, i przestrzegał wszystkich stopniowań konwencjonalnej grzeczności, zależnie od rangi, wieku i sytuacji).

Chciałbym podkreślić raz jeszcze pewną zaborczość czy zachłanność, która wyraża się w zaimkach dzierżawczych. Np. normalnie w każdym języku poprosisz kelnera hotelowego, by przyniósł ci śniadanie do pokoju, po angielsku zaś mówisz: „*I should like to have my breakfast in my room*" (Chciałbym mieć moje śniadanie w moim pokoju). Rzecz dziwna, kelner, przynosząc śniadanie, zaznaczy, że to jest „*your breakfast, sir*".

Cudzoziemca drażni trochę, gdy Anglik, mówiąc o swej własnej, rodzonej żonie, zawsze, przy każdej okazji, w sposób niesłychanie egoistyczny zwraca uwagę, że to jest jego żona: „*my wife*". Nawet gdy żona zdradziła go, mówi „*My wife betrayed me*". Tak samo podkreśla Anglik, że córka jest jego córką, syn jest jego synem. „*I left m y wife in London whereas m y daughter and m y son went with me in m y car to Torquay where m y aunt died on h e r 100th birthday and bequeathed h e r residence to h e r dog, £ 50.000 to h e r beloved kitten and £ 100 to h e r butler if still in h e r service*". (Zostawiłem moją żonę w Londynie, podczas gdy moja córka i mój syn pojechali moim autem ze mną do Torquay, gdzie moja ciotka umarła w setną rocznicę swych urodzin i zapisała swą rezydencję swemu psu, 50.000 funtów swemu ulubionemu kociątku i sto funtów swemu kamerdynerowi, o ile będzie jeszcze w jej służbie).

Zaimek dzierżawczy stosują Anglicy bardzo obficie. Np. „*Mrs. Hankey shook her head*" (Pani Hankey potrząsnęła swoją głową. — *I should like to have my hair cut*" (Poproszę o ostrzyżenie moich włosów), „*His old head sank on to his chest*" (Jego stara głowa spadła na jego piersi).

Zaimki dzierżawcze są następujące: „*My, mine*" (mój, moja, moje), „*your, yours*" (twój, a, e, pański, a, e), „*his*" (jego), „*her, hers*" (jej), „*its*" (jego), „*our, ours*" (nasz, a, e, i), „*your, yours*" (wasz, a, e, i, e), *their, theirs*" (ich). Zaimek dzierżawczy „*thy*", podobnie jak osobowy „*thou*" zachował się tylko w modlitwie i w języku poetyckim. „*Hollowed be Thy name, Thy kingdom come, Thy will be done . . .* (święć się imię Twoje, przyjdź królestwo Twoje, bądź wola Twoja). Wielki poeta angielski, John Keats (1795—1821) poświęcił Kościuszce piękny sonet, który zaczyna się od słów: „*Good Kosciusko! thy great name alone . . .*" (Dobry Kościuszko, samo twoje wielkie imię . . .).

ZYGMUNT NOWAKOWSKI

SZCZYPTA HYPTA

EPITAFIUM

Tutaj śpi, snem na wieki
do trumny złożony,
Duch, który wygrał wojnę —
wielki, a szalony ...

Tu leży dobra wola
i wysiłek świata,
który chciał, aby pokój
panował przez lata.

Tutaj cień „zjednoczonych"
narodów spoczywa —
groteska pojednania
i farsa prawdziwa!

Tu umarła, dobita
przez veta szaleństwa,
rada, śmiesznie nazwana
„Radą ... bezpieczeństwa"!

Tutaj, do Blushing Meadows
(bo wstyd) na narady
zjechały się narodów
olbrzymie gromady,

Tutaj była miejscowość
Lake Success'em *zwana,*
która dzisiaj pod nazwą
Lake Failure *jest znana ...*

Co, pacjent jeszcze żyje?
Jeszcze dość ma krwi?
Co, przedwczesny nagrobek?
— You just wait and see!

J. HYPT

SPIS RZECZY

Muszę grać w pool'a...

Od dłuższego już czasu intrygowało mnie dość dziwne zachowanie się pana starszego pancernego Filipa Śliwy. Gdy inni pancerniacy jeździli do kina, grali w karty, lub już spali, on wszystkie niemal wieczory spędzał przy małym stoliku, pochylony nad papierami.

— Studiuje chłopak pewnie — domyśliłem się inteligentnie. Lecz któregoś wieczoru, chcąc całkowicie zaspokoić ciekawość, podszedłem do pana Śliwy. Już pierwszy rzut oka na pokryte cyferkami arkusze papieru upewnił mnie, że pana Filipa interesuje nauka ścisła.

— Do egzaminu pan się przygotowuje, co? — zagadnąłem nieśmiało.

Zaczepiony podniósł powoli głowę.

— A tak — odparł po chwili — jak człowiek zbudzony ze snu. — W poniedziałek mam iść do rzeźni ... obecnie, jak pan widzi, jestem na urlopie po kursie masarskim ...

— Jakto ...! A ta matematyka?

— To przecież tylko permutacja ... pan też chyba gra w poola?

— Nie — odparłem. I nawet nie próbowałem jeszcze ...

Zdziwienie, jakie odmalowało się na twarzy pana Śliwy, porównać można jedynie z tym, jakie widziałem niedawno na twarzy jednego z prezesów Koła SPK, do którego jeden z członków zwrócił się o pomoc finansową.

— Jakto, więc pan nie gra w poola? Niemożliwe ...

— Nie gram — potwierdziłem zażenowany.

Tu pan Śliwa zaczął mi tak dokładnie wszystko tłumaczyć, że dosłownie nic nie zrozumiałem. Dopiero po przejrzeniu znajdującej się na stole broszury p. Sokoppa „Poole piłkarskie", zorientowałem się co do ogólnej zasady gry.

— Więc teraz zagra pan? — spytał pan Śliwa. — Tysiączek może wpaść, jak ta lala ...

— Zagrałbym — odparłem niezdecydowanie.

— To jak pan chcesz, spróbuj pan pierwszy raz na moim poolu... Tylko raz dwa, bo muszę zaraz wysłać, aby najpóźniej jutro do czwartej był już w firmie ...

Ponieważ pan Filip bardzo przynaglał, szybko wypełniłem jedną z kolumn 2-go poola ITP. Trzy nierozegrane ... Trzy krzyżyki — i o key. Bez namysłu więc w różnych od siebie odległościach postawiłem trzy znaczki.

— A jak wygram? — spytałem cicho.

Pan Śliwa roześmiał się serdecznie.

— Drugi sezon już kombinuję i nie wygrałem, a pan tak od razu chciałby forsę ... No ale jak panu się uda, to wygrana po połowie ...

I rzeczywiście — udało mi się. W sobotę wieczorem wpadł do mego baraku pan Śliwa, wymachując trzymaną w ręku gazetą.

— Patrz pan — wołał uszczęśliwiony — wygrał pan ... Ale szczęściarz ... Spójrz pan; Blackpool — Wolves remis, Blackburn — Aston V. remis i ten trzeci mecz Leyton O. z Newport remis . . .

W tym momencie poczułem jak blednę, a kolana lekko się uginają...

— Pokaż pan — wyszeptałem wzruszony. — Więc naprawdę wygrałem?

Okazało się, że tak. Szczęśliwie przewidziałem trzy remisy.

Na wiadomość o mojej wygranej, natychmiast zebrało się w baraku grono bliższych, dalszych i zupełnie dotychczas mi nieznanych kolegów. Wszyscy oczywiście szczerze gratulowali, niedwuznacznie dając do zrozumienia, że oblanie tego faktu byłoby zupełnie uzasadnione. No cóż ... Poszliśmy więc w jedenastu do pobliskiego baru. Gdy później wracaliśmy, śpiewając chórem wiązankę pieśni góralskich, stwierdziłem brak sześciu i pół funtów, zaoszczędzonych podczas sześcioletniej służby wojskowej. Ale cóż to znaczy wobec wygranej w poola ... W obozie pożyczyłem więc jeszcze funta, stawiając po kawie i kilku ciastkach.

W nocy zaś i podczas następnych dni, układałem sobie plan, według którego miałem użyć wygranej. Kupię sobie eleganckie ubranie, płaszcz nieprzemakalny i jesionkę. Warto by też znaleźć jakieś możliwe mieszkanko i ewentualnie, o ile będzie w pobliżu garaż, samochód lub choćby tylko motocykl. Następnie wypadało by dać do „Dziennika" ogłoszenie matrymonialne: „młody, z lekko zadartym nosem pan, pragnie oddać pół serca i co ważniejsze, taką samą część wygranej w poola, jakiejś pani niezależnej już od mamy lub komendantki".

Ze zrozumiałych jednak względów musiałem się wstrzymać z realizowaniem swych planów, do chwili otrzymania pieniędzy.

Niestety. Choć nastąpiło to już ubiegłej środy, nie mogę jeszcze pozwolić sobie nie tylko na wóz, mieszkanie czy choćby tylko na żonę, ale muszę nawet odmówić codzienne w NAAFI „cup of tea". Z rozdartej bowiem drżącymi rękoma koperty, wypadły blankiety „Postal Orderów" na całe — 70 szylingów. I jeszcze połowę musiałem oddać panu Śliwie ...

Fakt ten zmusił mnie naprawdę do gry w poola. Co tydzień więc obstawiam wiele kombinacji, aby jak najszybciej wygrać. I marzę, lecz tym razem jedynie o tym, aby po oddaniu długów mieć znów tych sześć, przez lata zaoszczędzonych funtów.

ANDRZEJ HALEDA

ANGLIA NA CODZIEŃ

DOŃCIU JAKO CZYTELNIK

Postanowiłem zachęcić Dońcia do utrzymywania kontaktu z emigracyjnym piśmiennictwem. Na początek dam mu do przeczytania coś lekkiego — zbiór przemówień jego najbliższego sąsiada z „Polski Walczącej" — Obywatela Żądełki. Właśnie ukazało się wydanie, zawierające aż trzydzieści trzy oracje z paczki od mydła. Cały zbiorek pod tym właśnie tytułem „Na paczce od mydła" kosztuje tylko cztery szylingi sześć pensów, co jak na polskie wydawnictwo emigracyjne jest bajecznie tanio: tyle właśnie, co szanujący się polski miesięcznik, lub trzy tygodniki. Nie porównywam już do broszur politycznych (nakładem autorów), które kosztują po trzy szylingi od ośmiu stron. Naturalnie płaci się tak drogo nie za ilość, tylko za jakość.

Kupiłem więc wyżej wspomnianą książeczkę i umieściłem na niej dedykację:

„Dońciowi, bohaterowi piątej kolumny".

Chodziło oczywiście o piątą kolumnę na szóstej stronie „Polski Walczącej".

Zastałem Dońcia w momencie przyszywania do munduru tęczowych baretek odznaczeń (Dońciu mówi: „b e r e t k i", bo to dla niego zrozumialej, uważa zaś, że powinno je się nosić na czapce, jak sama nazwa wskazuje ...)

Z medali angielskich Dońciu ma potrójny *E.G.I.* (*Everybody Got It*). Złośliwi mówią, że Dońciu zasługuje jeszcze na jeden *Cross* i na jedną *Victoria*, mianowicie: *King's Cross* oraz *Victoria Station* od kompanii kolejowych za częste podróże. Jeszcze złośliwsi plotkują, że Dońciu starał się o *V.C.* i był tak mężny, że dostał od razu o jedną literę dalej: *V.D.*

Z polskich odznaczeń Dońciu ma ten medal, który przysługuje wszystkim od kucharza wzwyż, a kanceliści dostali go dwukrotnie. Dońciu ma trzykrotny, bo trzeci wniosek napisał na siebie sam. Kiedy mu to wyrzucałem, żachnął się:

— „A co? Sam widziałem, jak Amerykanin wychodząc z kina po zobaczeniu filmu „Zwycięstwo na pustyni" przypinał sobie medal za kampanię libijską. A ja narażałem siebie i kolegów, rozbijałem maszyny przy lądowaniu, strzelałem z czego mogłem i co z tego mam? *Virtuti Miniedali*".

— „Masz jeszcze szanse — pocieszyłem go. — Wprawdzie w następnej wojnie samoloty będą latać bez pilotów, ale możesz wykazać dużą odwagę w naciskaniu guzika, który wyśle ładunek bomb, zdolny zabić tysiące ludzi. Tymczasem jednak mamy pokój i powinniśmy się zająć naszą kulturą umysłową. Właśnie przynoszę ci polską książkę ..."

— „Ha, ha, ha — zaśmiał się Dońciu szyderczo — polską książkę! Chyba wiesz, że jestem prawdziwym Polakiem na emigracji: nie czytam polskich książek ani polskich pism, nie chodzę do polskiego teatru ani na polskie koncerty, nie należę do polskich organizacji i stronię od rodaków".

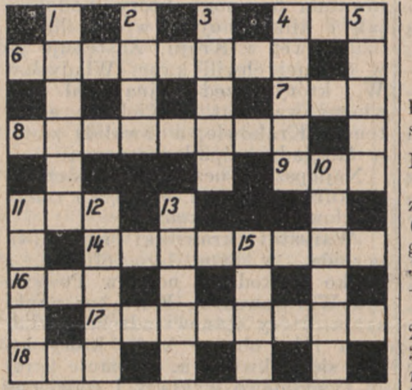
— „Wiem, wiem — potwierdziłem. — Dlatego masz tylu wielbicieli: przyjemnie jest móc piętnować własne wady w kimś innym. Ale do rzeczy: książka, o której mówię, na pewno cię zainteresuje. Autorem jest twój najbliższy sąsiad (o linię) — Obywatel Żądełko. Treścią są jego cotygodniowe oracje „Na paczce od mydła", o które tak natarczywie dopominają się ostatnio nasi prenumeratorzy".

— „Prenumeratorzy? — zdziwił się Dońciu. — A któż prenumeruje polskie pisma? Ja sam przeglądam je tylko wtedy, jeśli je znajdę w mesie na stole. Naturalnie tylko po to, żeby zobaczyć, coś ty tam za nowe głupstwa na mnie wymyślił".

— „Dońciu! — zawołałem wyczerpany. — Zabieram ze sobą książkę, przyniosłem ją za wcześnie. Jeśli, jak powiadasz, reprezentujesz typ Polaka na emigracji — to, na miłość boską, bierzmy się czym prędzej do druku elementarzy!"

RAD

Spróbuj...



KRZYŻÓWKA POLSKO-ANGIELSKA

Według podanych po polsku znaczeń wyrazów, należy wstawić do tej krzyżówki słowa angielskie.

Poziome: 4, Wynik działania arytm. (wspak). 6, Określić chorobę wg. jej symptomów. 7, Okres historyczny. 8, Został zbudowany dla upamiętnienia pożaru Londynu w 1666 roku. 9, Procesować się, dochodzić swych praw. w sądzie. 11, Ruda. 14, Żona Odysseusza. 16, Bez oczu — nie można! (wspak). 17, Wykaz zmarłych, wspomnienie pośmiertne. 18, Część ciała.

Pionowe: 1, Aktywność, siła organizmu. 2, Naglić, przyśpieszać, popędzać (wspak). 3, Jest bardzo słodki. 4, Spotyka. 5, Bez lustra bardzo trudno. 10, Sędzia sportowy. 11, Beethoven napisał tylko jedną. 12, Najsłynniejszy tor wyścigowy Anglii. 13, Aż, do. 15, Hałaśliwy, bardzo intensywnie słyszany.

NIBY TO SAMO. A CO INNEGO...

Przez przestawienie liter możemy zamienić pierwiastek chemiczny (rad) na prezent (dar), lub pasmo gór (Ural) na kiepską zupę (lura). Jak — stosując tę samą operację — zamienić:

1, *Polowanie na zwierzę domowe.* 2, *Część drzewa na pracę w polu.* 3, *Posterunek na roślinę.* 4, *Narzędzie kuchenne na symbol niewoli.* 5, *Napój alkoholowy na konstrukcję.* 6, *Głowę państwa (nazwisko) na fabrykat stolarski.* 7, *Pokój do nauki na spory pokój.* 8, *Rozmowę na dbanie, doglądanie.* 9, *Jednostkę wagi cennych kamieni na dwie strony.* 10, *Wzór, eksponat na zwierzę.*

£. s. d.

Spośród trzech panów, siedzących przy barze, dwóch ma w swych kieszeniach banknoty funtowe, dwóch — monety szylingowe i dwóch — miedziane pensy.

Pan, który nie ma funtów, nie ma też miedziaków, a pan nie posiadający szylingów nie ma przy sobie pensów.

Jakie pieniądze posiada każdy z nich?

* * *

Rozwiązania wszystkich zadań należy przesłać do środy dnia 8.10.1947 (data stempla pocztowego) z podaniem nazwiska i dokładnego adresu. Koperty winny być adresowane do Redakcji „Polski Walczącej" (84, Hazlewell Rd., London, S.W.15) i zaopatrzone w wyraźny napis „SPRÓBUJ".

Za prawidłowe rozwiązanie zostanie przyznana nagroda w postaci cennej książki: w razie nadesłania kilku prawidłowych odpowiedzi — w drodze losowania.

Rozwiązania z tego numeru oraz nazwisko osoby nagrodzonej ukażą się w Nr. 41 „Polski Walczącej".

ROZWIĄZANIE ZADAŃ Z Nr. 37

Za prawidłowe rozwiązanie uważane jest każde, zadośćczyniące warunkom zadania. Więc np. na „Przyjęciu imieninowym" dziewczęta mogły siedzieć w różnej kolejności, a datą z „Historii matematycznej" mogła być równie dobrze Bitwa pod Lignicą (1241) lub Konstytucja 3-go Maja (1791).

PRZYJĘCIE IMIENINOWE: 6, 15, 9, 13, 7, 11, 10, 14, 8, 12.

HISTORIA MATEMATYCZNA: Odsiecz Wiednia 1683.

LUŹNE LITERY: 1, Żar, ar. 2, Woda, oda. 3, Szczęka, szczęk. 4, Gruda, ruda. 5, Kawka, kawa. 6, Tłum, tum. 7, Kiełb, kieł. 8, Fosa, osa.

Za prawidłowe rozwiązanie wszystkich zadań nagrodę w postaci powieści Józefa Conrada-Korzeniowskiego „Zwycięstwo" otrzymała w drodze losowania P. Irena Osadzińska, Hermitage Camp nr. Newbury, Berks.

Nagrodę „zagraniczną" — książkę J. Conrada-Korzeniowskiego „Szaleństwo Almayera" i A. Conan-Doyle'a „Późna zemsta", za prawidłowe rozwiązanie zadań z Nr. 36-go otrzymał P. Wł. Odrowąż-Łaniewski, rua Rodrigo da Fonseca 109, 3E Lisboa, Portugalia.

WYDAJE "FIGHTING POLAND" TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 84, Hazlewell Road, London S.W. 15. Tel. PUTney 1273.
(w poniedziałki i wtorki: Tel. SLOUGH 21230)
Redaktor przyjmuje w środy w godzinach 12—13.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii kwartalnie 8 sh., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.

Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na "FIGHTING POLAND TRUST" pod adresem Administracji.

Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 10 s., ($5). Zarezerwowane miejsce 50 proc. drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100 proc. drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 9d. za słowo, dwukrotne 1sh. za słowo, trzykrotne 1sh. 6d. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 6d., dwukrotne 9d., trzykrotne 1sh. za słowo.

Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.

Adres Administracji: 160 Earls Court Road, London, S. W. 5. Tel. FRObisher 3881.

Przy wszelkiej korespondencji, przekazywaniu pieniędzy, zmianie ilości prenumerowanych egzemplarzy itp. prosimy o podawanie d o k ł a d n e g o a d r e s u, a przy zmianie adresu — o podawanie również starego adresu.

Printed in England for „Polska Walcząca" by Groves, Brodie & Co., Ltd., The Windsor Press, Trading Estate, Slough, Bucks. Registered at the G.P.O. as a Newspaper